ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 7(32) • Lipiec 2008 • Cena 2,00 zł

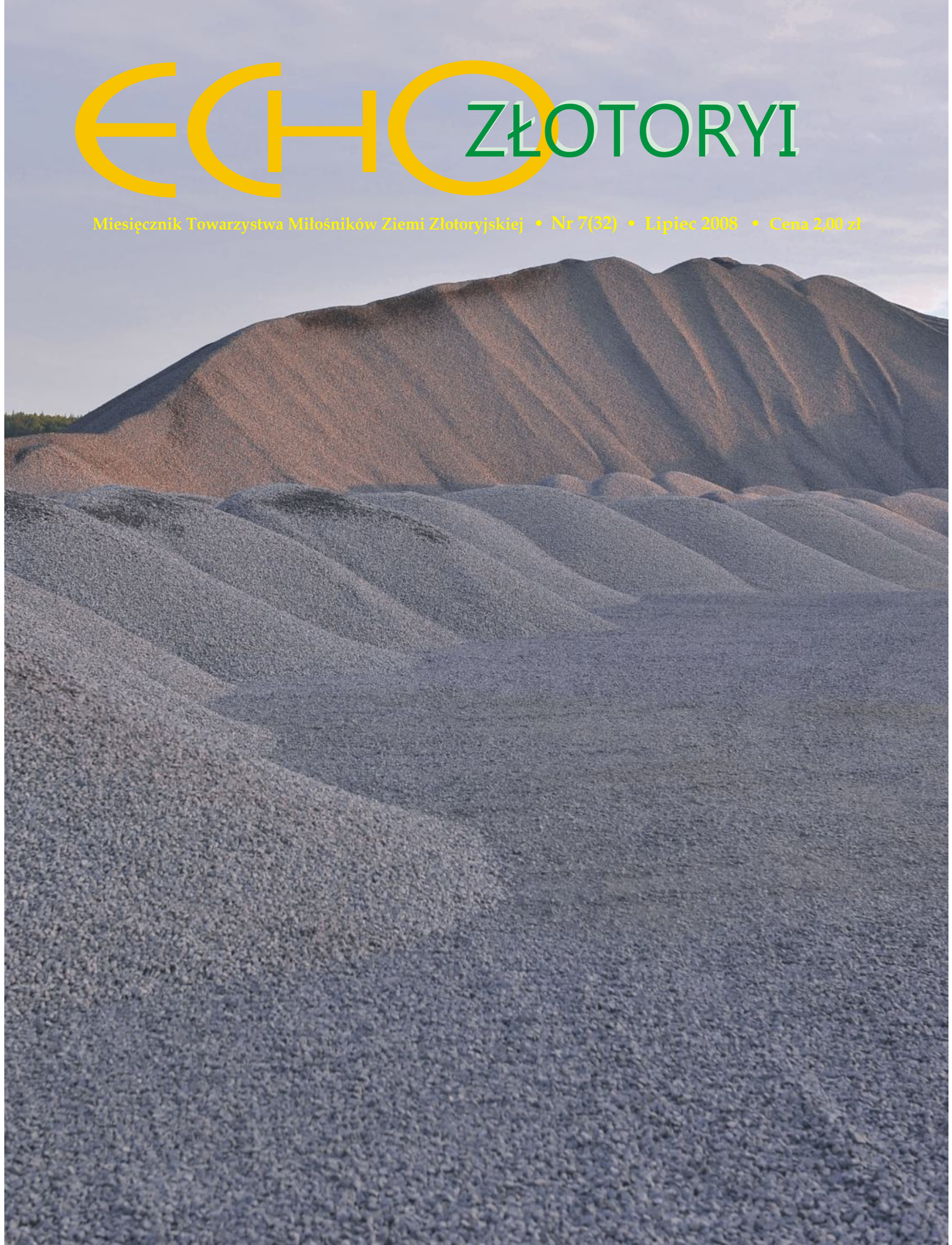

Głędziołki

W naszym „dużym kościele" śluby są takie piękne! Sama kiedyś zawlokłam przed jego ołtarz pewnego młodzieńca. Dziś podziwiam śluby moich młodszych znajomych, koleżanek, dzieci moich koleżanek…Uwielbiam uroczystości ślubne. Są zawsze takie wzruszające przez ich optymistyczną wiarę w cudowną przyszłość małżonków, miłość, której nic nie rozłączy. Państwo Młodzi i goście zawsze wyglądają odświętnie, pięknie, uroczyście, paradnie…chyba, że są to nieproszeni goście. Cóż, przecież nikt ich spod kościoła nie wygoni.

Spod kościoła, bo mowa tu o chwili, kiedy państwo młodzi wychodzą już połączeni sakramentem małżeńskim, a my wszyscy, w ustalonej protokołem kolejności czekamy, by złożyć im życzenia. Ale druhny zawsze coś spsocą. To świetnie, bo warto przełożyć wzruszenie i spięcie po podniosłych minutach ślubnej mszy nagłym wybuchem śmiechu, radością. Taki będzie cały ten dzień, potem- noc, nieraz do białego rana. I oto pod nogi nowożeńców sypią się drobne pieniądze. Kto uzbiera więcej? Ona czy on, czy… dzieciaczki?

Nie są zainteresowane cukierkami, które rodzice pary młodych przygotowali dla dzieci. Właściwie- dla dzieci gości weselnych, ale niech tam! Cały koszyk dobrych cukierków spada czekoladowym deszczem na głowy skwapliwych zbieraczy. Przy czym dzieci gości weselnych stoją grzecznie blisko rodziców i nie mają odwagi (lub ochoty) na kucaka pobrudzić odświętnych ubranek. Dzieciaczki, o których mowa- mają! I odwagę i ochotę! Oczywiście za cukierki zabierają się dopiero w drugiej kolejności, kiedy grosiki zostały wyzbierane.

Uwagę naszą zwraca urocza sześcio-siedmiolatka! Postarała się o specjalny na tę okazję strój. Ma ładną sukieneczkę z kieszonką na piersi. Mądrze! Najszybciej zbiera do niej pieniążki i cukierki. Pozostałe dzieci są starsze. Najstarszy z nich, w bluzie sportowej z kapturem może mieć jedenaście, góra dwanaście lat! Grupka liczy najwyżej dziesięcioro dzieci w tym przedziale wiekowym.

Wreszcie możemy składać życzenia świeżutkim małżonkom i odświętny nastrój wraca. Wiadomo- koleżanki z pracy- na końcu, po rodzinie, sąsiadach, bliższych przyjaciołach. Ale cóż to? Za nami ustawia się jeszcze jeden ogonek ostatnich kolegów i koleżanek. To dzieciaczki- zbieraczki! Z grosikiem w ręce ich przewodniczący, ten na sportowo w bluzie z kapturem: Oto grosik na szczęście, powiada, a my zbieramy na kolonie. Dziękujemy- odpowiada młoda żona i próbuje zignorować żebracką postawę zucha. Ale gdzież tam, chłopiec z tupetem powtarza tę kwestię jeszcze raz, i jeszcze raz i wpycha się między gości tak, że pewnie będziemy go mieć na pamiątkowym zdjęciu ze ślubu koleżanki!

Zostawisz nas w spokoju, czy dzwonimy na policję? Pytam odświętnym szeptem, i jeszcze się staram, żeby nie usłyszeli mnie inni goście (z daleka przybyli do pięknego kraju, pięknego miasta). To zadziałało i dzieciaczki-żebraczki dają nam spokój. W kościele rozpoczęła się już następna ślubna msza, przed „naszym" ślubem był jeszcze jeden. Rozchodzimy się a na placu zostają dzieciaczki-cwaniaczki. Uda im się dziś jeszcze coś ukraść i wyżebrać. Podchodzę do herszta i pytam: Nie wstyd ci? Nie- odpowiada. Nie wiesz, że tak się nie robi? Nie- odpowiada.

Ukraść i wyżebrać- to mocne słowa. Przecież to takie niewinne…zwyczaje, miejscowy folklor, jak brama kwiatowa na drodze ślubnego orszaku do weselnego domu! Otóż nie. Ne było to ani zabawne ani miłe. Mnie i moim koleżankom, koleżankom naszej koleżanki, rodzicom panny młodej, Polakom, którzy byli świadkami tego incydentu było wstyd. Kiedy się zabiera spod nogi pieniądze, nieprzeznaczone dla nas- to jest kradzież. Nawet, kiedy są to groszówki- jest to kradzież. Kiedy się od szczęśliwej młodej pary „zbiera na kolonie"- to jest żebractwo. Tylko kto ma powiedzieć to dzieciaczkom, których w letnie, cieplutkie, wakacyjne popołudnie nikt nie dogląda, nie zabrał na spacer, nie posadził obok siebie na mięciutkiej kanapie, żeby dobrym, staropolskim obyczajem obejrzeć jakieś kino familijne? No bo kto? A ja się przecież nie rozerwę!

Babcia

Cel - olimpiada

Jeśli pozwolimy utalentowanemu Pawłowi rozmienić się na drobne, zarzucić treningi i marzenia o mistrzowskich medalach. Może warto poszukać? Potrzebny sponsor, dzięki któremu sportowiec ze Złotoryi rozwinie talent.

Mama o Pawle

J.K.: *Jaki był Paweł w dzieciństwie?*

Ewa Rakoczy: Oj, bardzo spokojny - dopóty nie zaczął chodzić, potem się zaczęło...

Nigdy nie mogliśmy go upilnować, wszędzie było go pełno, a przy tym był uparty.On zawsze chciał być pierwszy.(uśmiech) Od pierwszej klasy brał udział we wszystkich możliwych **zajęciach sportowych: rzucie piłeczką, w skoku w dal, w rozgrywkach piłki siatkowej.**

J.K.: *Kto był dla Pawła wzorcem sportowym?*

E.R.: W dzieciństwie jego wujek ćwiczył walki wschodu, Paweł przypatrywał się uważnie treningom. Dwójka była szkołą sportową, Pawłowi odpowiadała zwiększona liczba godzin w-fu, mógł w niej realizować swoje marzenia sportowe.

J.K.: *Paweł dobrze się zapowiada, czy chcieliście jako rodzice wykorzystać jego potencjał?*

E.R.: Rozważaliśmy możliwość trenowania Pawła w AZS AWF w Gdańsku. O trenerze Walczaku z AZS usłyszeliśmy bardzo dobrą opinię: „trener mistrzów". Wierzyliśmy, że tam Paweł rozwinie się sportowo.

J.K.: *Kiedy to było?*

E.R.: Paweł miał 15 lat, był w trzeciej klasie Gimnazjum. Ciężko mi było na sercu. Wypuściłam w świat moje dziecko... Od tej chwili musiał się usamodzielnić. Telefony ratowały nasze kontakty Podczas rozmów padało dużo pytań: -mamuś a jak się smaży kotlet schabowy.... Nauczył się szybko prać, gotować, prasować, rządzić skąpym groszem, bo ile mogliśmy mu dać? Kontakty bezpośrednie były sporadyczne, raz, że odległość, po drugie miał treningi na wyjeździe. Na ferie Paweł dostawał plan treningowy, który musiał skrupulatnie wozdanie. Żal mi go dziecko ubierało się i gimnastycznej. ała Pawłowi grać w ni dopóki nie siał spustoszenia serwami i atakami. Widziałam, jak dużo musiał ponieść wyrzeczeń. Inni korzystali z wolnych dni a on trenował...

Paweł o sobie

Paweł Rakoczy: Sport to moje życie. Już w szkole podstawowej zamiast dwóch godzin miałem pięć godzin w-fu, odpowiadało mi to. Brałem udział w różnych rozgrywkach biegowych, skokach i rzutach.

J.K.: *Kto miał na Ciebie wpływ?*

P.R.: W podstawówce Pani Liliana Jabłońska przygotowywała nas do czwórboju. Mieliśmy świetną zaprawę, treningi były forsowne, ale dały dobre wyniki. Zdobyliśmy pierwsze miejsce drużynowo w województwie. Gdy skończyłem podstawówkę jakby wszystko się skończyło. Dobrze rzucałem piłką palantową, szkoda było zaprzepaścić tę umiejętność. Na szczęście spotkałem nauczyciela w-fu - pana Jana Smolińskiego, to on namówił mnie do rzutu oszczepem.

J.K.: *Jakie masz osiągnięcia?*

P.R.: Przez okres szkoły podstawowej byłem bardzo czynnym zawodnikiem, brałem udział w skoku wzwyż. Zajmowałem I-II miejsce, w rzucie piłką palantową. Nie było lepszych ode mnie. Zdobywałem I miejsca. Od 2001 roku trenowałem rzut oszczepem w sekcji lekkoatletycznej złotoryjskiego Aurum, chociaż interesowała mnie także piłka siatkowa, koszykówka oraz wędkowanie. w 2002 roku w indywidualnych spławikowych mistrzostwach koła juniorów zająłem I miejsce. Od października 2002 roku przeniosłem się do AZS AWF Gdańsk. Od tego momentu trenuję w ich barwach wśród czołowych zawodników w mojej konkurencji. O rekordach i zwycięstwach pisały gazety. Mistrzem Polski Młodzików zostałem w Siedlcach w 2002 roku, w 2003 podczas XI Ogólnopolskiej Olimpiady Młodzieży w Sportach Letnich Pomorze 2003 zostałem mistrzem Polski w kategorii „Junior Młodszy" w rzucie oszczepem.

Od 2004 roku jestem członkiem Kadry Narodowej. W 2004r. w Częstochowie też zdobyłem I miejsce i Klasę Mistrzowską.

zdobyłem IV miejsce. W Słupsku zdobyłem tytuł Mistrza Polski Juniorów, a w Mistrzostwach Świata Juniorów w Pekinie zająłem XXIV miejsce.Na Dzień Matki 24. maja 2008 r. zrobiłem mamie prezent. W Akademickich Mistrzostwach Polski zdobyłem I miejsce i Klasę Mistrzowską .

Paweł i nowy trener

J.K.: *Nie bałeś się wyjechać do Gdańska? Byłeś taki młody!*

P.R.: Miałem 14 lat i wiedziałem, że jak dostanę szansę, wykorzystam ją. Postanowiłem wraz z koleżanką wybrać się do Gdańska do AZS. Tam był świetny trener, pan Leszek Walczak (trener Kadry Narodowej w rzucie oszczepem), który poszukiwał talentów lekkoatletycznych. Powiedziałem sobie, spróbuję. I przyjęli nas. Szkoła Mistrzostwa Sportowego oferowała nam profesjonalne treningi , ubiór sportowy, internat, a resztę musieli zapewnić nam rodzice. Tam także mieliśmy możliwość wyjazdów na zawody .

J.K.: *Jak wyglądają treningi?*

P.R.: Sezon rozpoczyna się w maju i trwa do października. Do tego czasu muszę z siebie dać wszystko, aby wystartować w prestiżowych zawodach. Żeby osiągnąć minimum olimpijskie, **ki**lka razy w roku mam dwutygodniowe obozy sportowe w ośrodkach w całej Polsce. Ostatnio byłem w Spale pod Warszawą, tam ćwiczy kadra polska. Trener jest bardzo wymagający, a treningi bardzo forsowne, ale bez tego nie byłoby wyników. Dużo jest elementów sprawnościowych np. płotków oraz gimnastyki, aby każda partia mięśni była rozciągnięta. Dyscyplina jest kontuzjogenna. Treningi w zależności od pory roku są zróżnicowane: w zimie pracujemy nad wytrzymałością i siłą. Zima jest najgorszą porą w mojej dyscyplinie, ponieważ treningi w sali są wyczerpujące i monotonne.W odróżnieniu od innych dyscyplin lekkoatletycznych w mojej nie ma sezonu halowego. Na dwutygodniowych obozach przygotowawczych do sezonu wykonujemy około 2000 rzutów.

J.K.: *Musisz połączyć studiowanie z treningami, jak to robisz?*

P.R.: Jestem na drugim roku studiów AWF wydział trenerski - lekkoatletyka. Mam indywidualny tryb studiów ze względu na treningi.W wspomniałem wcześniej, że sześć razy w roku wyjeżdżam na dwutygodniowe obozy. Powołano mnie do Kadry Polski w klasie młodzieżowej. W tym czasie opuszczam wykłady, które trzeba nadrobić. Na naukę zarywam noce, czasami nie wiem, jak się nazywam, kiedy rano idę na egzamin. Ta ciężka praca, to cena moich zwycięstw.

J.K.: *Polski student to biedny student, a jak Ty sobie dajesz radę?*

P.R.: Tak daleko doszedłem dzięki mojej rodzinie. Rodzice cieszyli się z moich zwycięstw i wspierali w niepowodzeniach. Wiadomo- student ma pustą kieszeń. Rodzice wspomagają mnie w miarę ich możliwości. Często się śmieję, że pół domu im wynoszę. Jednak to nie wystarcza. Dziedzina, którą uprawiam, nie jest opłacalna, dopóki nie będę w seniorach. Jeśli będą wyniki na miarę mistrza Polski, jestem w stanie się utrzymać. W tej chwili stoję przed dylematem: przerwać treningi i zapracować na swoje studia czy poświęcić się sportowi. Mam już tyle lat, że powinienem odciążyć rodziców. Osiągnąłem już dużo, szkoda byłoby to zaprzepaścić. Jestem w Kadrze, obroniłem tytuł Mistrza Polski w rzucie oszczepem w juniorach i w młodzikach. Dzięki mojemu trenerowi jestem w stanie osiągnąć wiele, ale czy to mi się uda…?

J.K.: *Nie zauważyłam, aby ta konkurencja była popularna.*

P.R.: Lekkoatletyka jest słabo dotowana; aby wyjechać na międzynarodowe zawody, trzeba osiągnąć minimum olimpijskie. W rzucie oszczepem jest to 81 metrów . Nadmienię, że waga oszczepu jest różna. Kobiety i młodzicy rzucają oszczepem o wadze 600g, juniorzy młodsi (do 18 lat) 700g, juniorzy i seniorzy używają sprzętu o wadze 800 g. W historii lekkoatletyki zapisało się kilka nazwisk: Janusz Sidło, znakomity oszczepnik wszech czasów w 1956 w Mediolanie wyrzucił rekord życiowy 83,66 m, zdobył srebrny medal na Igrzyskach Olimpijskich w Melbourne. Sukcesy odnosili: Daniela Jaworska, Ewa Gryziecka, Dariusz Adamus, Stanisław Górak, Dariusz Trafas. W ostatnich latach konkurencja przeżywa kryzys. Tę lukę mogą wypełnić dobrzy szkoleniowcy i sportowcy. Gdyby dawali więcej szans młodym zawodnikom, polska reprezentacja oszczepników by zaistniała..

W 2006 roku Starosta Powiatu tak pisał o Pawle:

Paweł Rakoczy jest pierwszym sportowcem naszego regionu, który osiąga najwyższe lokaty w rzucie oszczepem. Jego zapał i nauka pod skrzydłami najlepszych szkoleniowców rokuje bardzo dobre wyniki.

Kochamy te dyscypliny sportowe i złoto- srebrno-brązowych zawodników. Miłość kibica rośnie wprost proporcjonalnie do zwycięstw. Czy ktoś słyszał o Robercie Kubicy, Adamie Małyszu, Otylii Jędrzejczak, zanim zostali zwycięzcami? Aby osiągnąć sukces, muszą zaistnieć cztery czynniki: talent i upór sportowca, dobry szkoleniowiec i... pieniądze. Cóż po diamencie, kiedy brak pieniędzy, by go oszlifować? Mamy szansę na kolejne złote, srebrne bądź brązowe medale Pawła. Zawodnik stoi jednak przed dylematem: studia i sport czy studia i praca. I studia i treningi są drogie. Polska reprezentacja oszczepników mogłaby zaistnieć dzięki dobrze zapowiadającemu się Pawłowi. Jego sława przysporzy sławy naszemu miastu.

Rozmawiała Jana Kałuża

ECHO ZŁOTORYI
Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska (sekretarz redakcji), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta). Zdjęcie na okładce: Kamieniołom w Męcince - Ryszard Masłowski.

Jarmark nad Skorą

Kiedy w grudniu ubiegłego roku przy okazji pisania artykułu rozmawiałam z właścicielami „Rancha pod strusiem" w Wojcieszynie, usłyszałam od gospodarzy o ich dalekosiężnych planach związanych z gospodarstwem. Pani Ewa Wolak z pasja opowiadała o tematycznych jarmarkach, które zamierza zorganizować na terenie Rancha, by

uatrakcyjnić życie we wsi i wypromować lokalne produkty. Pomyślałam wówczas, że plany są wspaniałe, ale miałam wątpliwości, jak wyjdzie ich realizacja, bo choć ludzi z pasją u nas nie brakuje, to często życie zmienia im scenariusze.

Po sześciu miesiącach okazało się, że dla gospodarzy Rancha nie ma rzeczy niemożliwych. 5 lipca w Wojcieszynie odbył się I Jarmark nad Skorą „Lipcowe żniwa". Pogoda nie odstraszyła amatorów rustykalnych klimatów i gospodarze z radością, ale chyba i niedowierzaniem, spoglądali na przybywających wciąż gości. Atrakcji nie brakowało, choć klimat Jarmarku (na szczęście) daleki był od atmosfery festynów, jakie ostatnio organizowane są w wielu miejscowościach. Nie dudniła dyskotekowa muzyka, nie lało się strumieniami piwo i nie było odpustowych kiermaszów z plastikową chińszczyzną. Co w zamian?

Dla miłośników pszczelarstwa i miodu przybyli państwo Krupscy z Nowego Kościoła. Przywieźli ze sobą kilka uli i wiele słoików miodu z tegorocznych zbiorów. Każdy mógł spróbować specjału, polewając nim pajdy chleba. Tuż obok panie z zespołu „Sami swoi" przy wielkim stole częstowały gości kresowymi wypiekami i samodzielnie przyrządzonymi nalewkami. „Czarci ogon" to jedna z tych, którą z czystym sumieniem mogę polecić. Szczególnie paniom! Niestety, nie udało mi się uzyskać przepisu na ten rarytas, gdyż receptura jest pilnie strzeżona przez mieszkanki wsi. Zachwyt gości wzbudzało wielkie, zdobne w warkocze ciasto o smaku pszennego chleba, które zwykle piecze się na białoruskie wesela. Aż żal było je kroić.

Przy kolejnym stole siedzieli przedstawiciele Warsztatów Terapii Zajęciowej z Wojcieszyna. Oni też oferowali swoje wyroby: ekologiczne torby, własnoręcznie wykonane okolicznościowe kartki, świeczniki. I przy tym kiermaszu nie zabrakło jedzenia. Można było posilić się pysznymi pierogami z grzybowym farszem. Kupiłam, jadłam i …przeżyłam, więc również polecam.

Po przeciwległej stronie podwórza swój kiermasz ustawili gospodarze. Tu hitem były kozie sery. Pokrojone w kostkę, przypominające fetę, zalane oliwą i posypane świeżymi ziołami budziły entuzjazm wielbicieli nabiału. Dla mięsożernych w ofercie były zdrowo wyglądające pęta kiełbasy i żurek w chlebku. Tęskniący z wigilijnymi potrawami mogli nacieszyć się czerwonym barszczem z pasztecikami.

Zamiarem gospodarzy było nie tylko nakarmienie gości, ale też zapewnienie im duchowej rozrywki. Dlatego pomyśleli o poezji i śpiewie. Mikołaj Biernacki z teatru „Mimo wszystko", który działa przy złotoryjskim LO, recytował pasujące do klimatu lipcowej biesiady

fraszki i pieśni Jana Kochanowskiego. A robił to pod rozłożysta lipą, a jakże! Młodemu aktorowi towarzyszyły panie z zespołu „Sami swoi", które przyśpiewkami komentowały wypowiadane przez Mikołaja słowa.

W zabytkowej sali kominkowej Rancha lokalni artyści zaaranżowali galerię malarstwa. Można było obejrzeć dziesiątki obrazów. Szczególnie ciekawe były pejzaże. Goście zasobniejsi w gotówkę nawet mogli wejść w ich posiadanie.

Nie zabrakło atrakcji dla dzieci. Maluchy z niecierpliwością czekały na przejażdżki dwukonna bryczką, więc woźnica i jego rumaki nie mieli chwili wytchnienia. Choć Jarmark miał skończyć się o 16, goście długo po tej godzinie jeszcze zapełniali podwórze „Rancha" pod strusiem". Wymownie to świadczy o sukcesie imprezy. Następny Jarmark już 2 sierpnia. Miejmy nadzieję, że będzie równie udany.

Iwona Pawłowska

Okolica od kuchni, czyli obiad z dzikami w tle

Nie napiszę dziś nic o złotoryjskiej gastronomii. Wśród wielu powodów mojej decyzji jest i ten, że po recenzjach lokalnych jadłodajni, publikowanych w Echu, niedługo już nie będę miała gdzie spotkać się ze znajomymi na kawie bez obaw, że na zapleczu lokalu nie wisi moje zdjęcie a nad nim napis: Tych klientów nie obsługujemy! Jest też i inna przyczyna – „oczywista oczywistość" – wakacje służą podróżowaniu w bardziej lub mniej odległe strony. Dlatego dzisiaj, Drodzy Czytelnicy, zaproponuję Wam obiad w Kaczorowie. Jadąc w Rudawy Janowickie, tak zaplanujcie podróż, by kilka chwil spędzić w Podgórzance. Karczma znajduje się tuż przy drodze na Kamienną Górę. Lokal specjalizuje się w daniach mięsnych, staropolskich, a szczególnie w dziczyźnie. Nie trzeba nawet spoglądać do oryginalnie skonstruowanego menu, by się o tym przekonać. Wystarczy obejrzeć wystrój sali. Czas oczekiwania na potrawę pochłania kontemplacja poszczególnych ścian z myśliwskimi trofeami w roli głównej. Nie tylko skóry i łby dzika czy jelenie rogi dekorują lokal. Wiszą tam też ciekawe portrety sprzed lat, zabytkowe lampy, ale szczególną furorę robi dyplom z lat 70. XX wieku upamiętniający sukces pracowników Restauracji Podgórzanka w realizacji planu pięcioletniego

W porze obiadowej polecam zupę - specjalność lokalu - której nazwa (zupa dnia) niewiele mówi, ale jej wartość kryje się w smaku. Nie są to flaczki, nie jest to zupa gulaszowa, ale coś pomiędzy. Nie wnikam, co sprawia ten smak. Efekt godny uwagi i na pewno sycący. Jeśli komuś mało, to powinien spróbować pieczonego łososia. Kilka dzwonków tej ryby, do niej frytki lub pieczone ziemniaki i zastaw surówek na pewno zaspokoi każdego głodomora. Łosoś jest aromatyczny, świetnie doprawiony, choć mógłby być bardziej soczysty. Frytki jak frytki, ziemniaki jak ziemniaki, ale za to surówki…! Amatorzy zieleniny nie będą czuć zawodu, bo rozmaitych warzyw w kolorze tęczy (marchewka, buraczki, rzodkiew, kapusta, pomidory, sałata…) serwuje się w karczmie monstrualną ilość. A warzywa są soczyste, świeże, chrupiące, niektóre z nich polane sosem na bazie octu winnego.

Po obiedzie czas na kawę. I tu niespodzianka. Kiedy zamawiałam ulubione cappuccino, kelnerka ze strapiona miną poinformowała mnie, że właśnie zepsuł się ekspres, ale jeśli chwilę poczekam, to szef przywiezie swój z domu. Nigdzie się nie spieszyłam i zdecydowałam się trwać w nadziei, że szef nie mieszka w Jeleniej Górze. Nie trwała to długo, kiedy właściciel wtaszczył do sali pożądany przez nas sprzęt. Cappuccino uratowane! Honor Podgórzanki też!

Plus dla obsługi, która ma głowę na karku i potrafi reagować w nietypowej sytuacji. To, zdaje się, świadczy o inteligencji. I szacunku dla klienta.

Iwona Pawłowska – degustator na szlaku

Rękopis znaleziony w Zagrodnie

Rękopis „Pana Tadeusza " od zawsze był chlubą Zagrodna. Skąd „Pan Tadeusz" w Zagrodnie? Nie wiadomo, ale widomo, że rękopis naszej epopei narodowej odnalazł pan Bernard Manecki. Postanowiłyśmy zapytać o jego udział w odzyskaniu dzieła Mickiewicza i okoliczności, w jakich się to zdarzyło.

Echo: Jest pan mieszkańcem Zagrodna od urodzenia?

Bernard Manecki: Nie, urodziłem się we Wrocławiu. Wówczas Wrocław był miastem niemieckim, więc byłem zmuszony od narodzin mówić w języku niemieckim. Wychowywałem się w kulturze niemieckiej, jednak jestem narodowości polskiej. Po wojnie kazano całej mojej rodzinie opuścić rodzinne strony. Do dnia dzisiejszego nie znam przyczyn. Prowadziliśmy spokojny tryb życia. Chodziłem do niemieckiej szkoły. Uwielbiałem sport i pszczelarstwo. Obecnie mam osiem uli. Po drugiej wojnie światowej do Adelina przybyła ludność polska .Moi rodzice postanowili opuścić Zagrodno, jednak ja zostałem .

Echo: Dlaczego panie Bernardzie został pan w Zagrodnie?

Bernard Manecki: Ze względu na moja żonę Janinę. Tutaj się poznaliśmy i zakochaliśmy. Mieliśmy swój dom, przyjaciół i cudowne wspomnienia.

Echo: Jak wyglądało przybycie polskiej ludności do Adelina?

Bernard Manecki: Starostwo przygotowało dla repatriantów wolne domostwa. Każdy mógł sobie wybrać dom. Po przyniesieniu numeru domu do starostwa, urząd dawał zaświadczenia o prawnym posiadaniu budynku.

Echo: Jak po wojnie wyglądało Zagrodno?

B. M: Zagrodno było zadbaną miejscowością. Dawniej mieszkali tu bardzo zamożni ludzie. Adelin słynął z pałacu, w którym urzędowało po wojnie radzieckie wojsko. Ruskim podlegali robotnicy niemieccy, którzy głównie trudnili się uprawą roli. Służby pilnowali uzbrojeni żołnierze. Jednak z biegiem lat pałac stał się wiejskim ośrodkiem kultury. Organizowano różne potańcówki do białego rana. Przyjeżdżało kino, organizowano kolonie. Istniał tu też obóz harcerski Służby Polsce. Uczestniczyła w nim młodzież do 18 roku życia.

Echo: Jak pan był traktowany przez mieszkańców Adelina?

B. M:. Początkowo Polacy myśleli, że jesteśmy Niemcami. Wówczas czuli nienawiść do tego narodu. Niszczyli wszystko, co niemieckie, żyjąc w przekonaniu, że wrogowie powrócą na swoje ziemie. A ja postanowiłem nauczyć się języka polskiego.

Echo: Wiemy, że pana nauka zaowocowała ożenkiem z Polką?

B. M: (śmiech) Muszę przyznać, że polski jest bardzo trudnym językiem. Minęło wiele lat, zanim nauczyłem się poprawnej polszczyzny, zawdzięczam to mojej żonie Janinie Krowickiej.

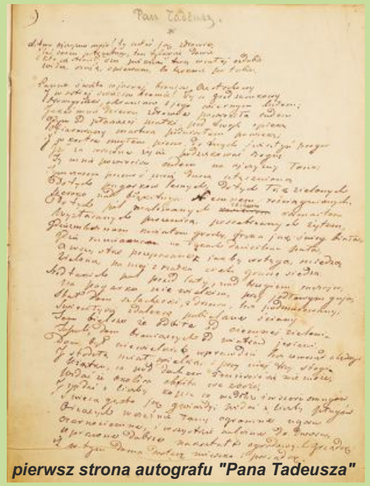

pierwsz strona autografu "Pana Tadeusza"

Echo: Jak się państwo poznali?

Janinę poznałem gdy osiedliłem się w Zagrodnie. Moja żona przybyła w tym samym czasie do Adelina. Mieszkała bardzo blisko mojego domu. Po prostu byliśmy sobie pisani.

Echo: Jest pan znalazcą rękopisu „Pana Tadeusza. Proszę o tym opowiedzieć.

B. M: Byłem wtedy jeszcze młodym chłopcem, ciekawym świata. Widząc zamęt wokół domu żony niemieckiego oficera, chciałem sprawdzić, co się dzieje. Gdy zauważyłem, że rosyjscy żołnierze palą książki, postanowiłem odratować resztę dobytku, księgozbioru. Mimo, że byłem świadomy zagrożenia, podjąłem się próby ratowania zbiorów. Wchodząc do opuszczonego i zrujnowanego przez Rosjan domostwa, spostrzegłem biblioteczkę. W pośpiechu oglądałem egzemplarze. Zabierając najważniejsze, spojrzałem, że na półce leży gruby plik kartek wielkości A4 przewiązanych zwyczajnym sznurkiem. Ucieszony zabrałem znalezisko i zaniosłem do swego ojca, czekając na pochwałę za dostarczenie mu doskonałego materiału na skręty. Nie byłem świadomy wartości znaleziska, ponieważ nie znałem wówczas języka polskiego, ale ojciec przeczuwał, że to coś bardzo wartościowego i od razu zaniósł kartki do ówczesnego wójta Jana Królickiego. Tam okazało się, że to rękopis …*Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza!

Echo: Kiedyś wspomniał pan, że znalezienie rękopisu jest dla pana przykrym zdarzeniem?

B. M: Tak naprawdę, to mało kto wie, że to ja znalazłem rękopis „Pana Tadeusza", który trafił do Ossolineum we Wrocławiu. Wszystkie zasługi przypisano wójtowi, panu Janowi Królickiemu, któremu oddałem plik kartek. Nie ujawniono nazwiska prawdziwego znalazcy. Nie chodzi mi tutaj o dobra pieniężne, lecz o jakieś podziękowanie za mój czyn. Jest mi bardzo przykro z tego powodu.

Echo: W tej sytuacji, próbując naprawić błędy z przeszłości, dziękujemy Panu za odratowanie najcenniejszego utworu naszej literatury romantycznej. Od dziś „Pan Tadeusz" stanie się nam jeszcze bliższy.

Przed II wojną światową rękopis był własnością rodziny Tarnowskich, która nabył go od Wacława Mickiewicza - syna poety.

W 1999 roku miasto Wrocław odkupiło rękopis za sumę 200 tys. dolarów od rodziny Tarnowskich i przekazało Ossolineum.

z Bernardem Maneckim rozmawiały Marta Kaliciak, Aleksandra Drzał

Danai z Iraku

Danai pochodzi z Iraku. Na krótko zatrzymał się w Polsce, mamy więc okazję zapytać o kilka interesujących nas różnic kulturowych między islamem i bliższą nam- kulturą chrześcijańską. Danai ma 28 lat, jest kawalerem, przedstawia się jaku sunnita. Cała jego liczna rodzina zdecydowała się na uchodźctwo polityczne. Właśnie szukają nowej ojczyzny.

Jana Kałuża: Główną religią Iraku jest islam.
Danai: Zdecydowanie tak, chociaż żyją również chrześcijanie.
Islam, mahometanizm jest jedną z największych religii współczesnego świata. Czytałem ostatnio, że ma ok.800 mln wyznawców. Jest religią monoteistyczną. Nazwa „ islam" pochodzi od arabskiego słowa „salama" co oznacza „pogodzenie się z wolą bożą, oddanie się Bogu". Słowo „Allah" znaczy „Bóg", a nazwa „mahometanizm" pochodzi od imienia założyciela tej religii- Mahometa.

J.K. Widzę Danai, że bardzo dokładnie się przygotowałeś do naszej rozmowy. To miłe. Jaką rolę w życiu muzułmanina odgrywa religia?
Danai: (uśmiecha się) Religia jest bardzo ważna w życiu muzułmanina. Każdy aspekt naszego życia kształtuje islam. Muzułmanin wypełnia nakazy islamu niezależnie od tego, co o nich myśli i gdzie żyje. Wierzymy w jednego Boga, według którego człowiek jest stworzeniem i Jego sługą. Każdy człowiek w swoim życiu doczesnym dąży do nagrody, jaką jest życie wieczne w Raju. Alternatywą jest, co logiczne, piekło – niekończące się cierpienie. Życie na ziemi jest tylko przejściowym etapem w naszej wędrówce, to test. By go zdać, żyjemy tak, jak nakazuje nam Koran.

J.K. Koran jest świętą księgą islamu.
Danai: Mahomet był ostatnim z proroków i to właśnie jemu Archanioł Gabriel w staroarabskim języku przekazał pochodzącą od samego Allaha treść Koranu. Stosując się do tych treści, żyjemy zgodnie ze słowem bożym. Księga jest trudna. Aby prawidłowo ją interpretować, trzeba uczyć się w trzyletniej islamskiej szkole. Koran jest „językiem Allaha", żaden śmiertelnik nie może zmienić ani jednego słowa w nim zawartego. Żadne tłumaczenie na inny język nie jest w stanie oddać jego właściwego znaczenia.
.
J.K.: Czy islam jest jednolitą religią?
Danai: Islam wyznają: szyici , sunnici, imamici i kilka mniejszych odłamów.

J.K. Na czym polegają obowiązki muzułmanina wobec tej wiary?
Danai: Każdego wyznawcę obowiązuje pięć filarów:
1.Wyznanie wiary (szahada)
2.Modlitwa (salat) - jest odmawiana pięć razy: o świcie, po południu, o zachodzie słońca i gdy zapadnie noc. Pierwsza modlitwa to al Salat al Sobah, druga - al salat al Duhor ,trzecia - al salat al Asyr, czwarta-al salat al Magrib, piąta –al salat al Eisha .W 1 i 4 modlitwie Imam (kapłan) czyta na głos Koran i modli się klęcząc. 2, 3 i 5 są modlitwą wiernych w ciszy.
3.Jałmużna (zaka) - jest obowiązkowa. Nie daję każdemu kto wyciągnie rękę, ale pomagam biedniejszym, rodzinom lub pojedynczym osobom. Są to niewielkie sumy.
4.Post (saum) - ustanowiony na pamiątkę objawienia się Archanioła Mahometowi w Ramadanie. Ramadan to dziewiąty miesiąc kalendarza islamskiego. Post trwa od wschodu do zachodu słońca, przez trzydzieści dni nie można w dzień nic jeść ani pić. Posiłki można przyjmować dopiero po zachodzie słońca, aż do jego wschodu.
5.Pielgrzymka do Ka'by (haddżd) - przynajmniej raz w życiu trzeba się udać do Mekki. Pielgrzymka oczyszcza wewnętrznie i dzięki niej muzułmanin utwierdza się w przekonaniu, że żyć wg Koranu, znaczy żyć doskonale. Jednak haddżd nie gwarantuje przebaczenia win za najcięższe grzechy (zmiana religii, zabójstwo, cudzołóstwo). Taką władzę posiada tylko Allah.

J.K.: Czy mekkę mogą odwiedzać wyznawcy innej religii?
Danai: Mekkę może odwiedzić tylko muzułmanin. Znajduje się w niej, Al Kaba – czarny kamień o kształcie prostopadłościanu, wysoki na 12 metrów, owinięty czarnym jedwabiem, na którym złotym haftem wyszyte są wersety koraniczne. Al Kabę podczas pielgrzymki należy obejść siedem razy .

J.K.: Jak wygląda modlitwa muzułmanina na co dzień?
Danai: Miasto, z którego pochodzę, jest wielkości Wrocławia, więc świątyń jest w nim dużo. Modlimy się zwróceni twarzą w kierunku Mekki. Wchodząc do meczetu musimy być „czyści": myjemy ręce, twarz i nogi. Nogi i pięty poddawane są szczególnej pielęgnacji, ponieważ wierzymy że„są najbliżej piekła". W meczetach są rynienki z wodą, umożliwiające obmycie się. Do modlitwy nawołuje nas imam (kapłan). Powinniśmy modlić się w meczecie - jeśli to niemożliwe, przerywamy pracę i modlimy się w miejscu przebywania, np. w sklepie.
Kobiety ubrane w hedżab modlą się w innym pomieszczeniu niż mężczyźni.
Modlitwy trwają około 30-45 minut i wymawiane są w języku proroka. Szczególnie ważnym dniem jest piątek, podobnie jak niedziela u was, jest dniem wolnym. Każdy obowiązkowo modli się w meczecie. To dzień rozważań nad Koranem, spotkań rodzinnych, krótkich wycieczek.

J.K.: Nie nosisz medalika, w waszych domach nie ma obrazów z wizerunkiem Boga.
Danai: Nikt nie jest godzien, żeby stworzyć wizerunek Boga, On jest światłością, której nie można ogarnąć. Bóg nie jest człowiekiem, my jesteśmy Jego stworzeniem. Porównanie Najwyższego do człowieka jest bluźnierstwem. Nie mamy świętych, są za to prorocy. Nie nosimy medalików.

J.K: Czy kobieta zawsze może uczestniczyć w modlitwie w meczecie?
Danai: Może uczestniczyć zawsze, tyle, że w czasie menstruacji jest słabsza. Traktuje się ją szczególnie, odpuszczone zostają jej grzechy, może się nie modlić, jeśli nie pozwalają jej na to siły. W czasie Ramadanu może spożywać pokarmy, to czas łask, ale gdy siły wracają, musi wszystko nadrobić.

J.K.: Czy mahometanizm posiada ceremoniały, bez których religia ta praktycznie nie mogłaby istnieć?
Danai: Jedną z takich ceremonii jest obrzezanie. Każdy chłopiec, musi zostać obrzezany przed 15 rokiem życia. W dniu 15. urodzin osiąga już dojrzałość płciową. Od tego momentu bierze udział w życiu religijnym, poznaje Koran, chodzi do meczetu, uczestniczy w Ramadanie. Ja czekałem na ten moment jak każdy na swą dorosłość. Rodzice wyprawili mi uroczystość i zaprosili gości. Nie wszyscy jednak świętują ten dzień tak uroczyście. Niektóre rodziny ograniczają się jedynie do zabiegu.

J.K.: Jak zawieracie związki małżeńskie?
Danai: Jeżeli młodzi zdecydują się na małżeństwo, zadanie dalszej organizacji ślubu przechodzi w ręce rodziców pana młodego, którzy to proszą rodziców panny młodej o jej rękę. Dalszy etap to już tylko zalegalizowanie związku. Ślub zawiera się w Urzędzie Cywilnym i w meczecie. Wesele... trudno mi opowiedzieć, ponieważ nie miałem swojego. (śmieje się). Noc poślubna jest czasami po trzech dniach od ślubu. W naszej religii, każdy mężczyzna może mieć maksymalnie cztery żony. Jednak każdej z nich musi zapewnić dobre warunki życia. Jeśli jednej daje dom, to trzy następne też muszą go dostać.

J.K.: Jak wygląda życie w związku?
Danai: Młodzi idą na swoje, mąż ma obowiązek utrzymać rodzinę. Dzieci to radość, ale nie sami młodzi decydują o ilość dzieci – o tym orzeka rodzina. Familia muzułmańska uczestniczy w życiu religijnym, nie je wieprzowiny, nie pije wina, żyje według Koranu. Jeśli umrze mąż lub żona, w wychowaniu dzieci pomagają krewni, oczywiście jeśli zachodzi taka potrzeba. Kobieta może pracować jak Europejka. Może być lekarzem, prawnikiem, nauczycielem itp. Dziećmi zajmuje się wtedy rodzina. Przed wojną działały przedszkola, teraz są już zamknięte. Dzieci uczą się w szkole podstawowej, gimnazjum i ponadpodstawowej, ale nauka nie jest obowiązkowa.

J.K. Jak wygląda pochówek?
Danai: Pochówek jest bardzo skromny. Ciało składamy bezpośrednio do ziemi. Nieboszczyk owinięty w białe płótno ułożony jest prawym boku z twarzą zwróconą w kierunku Mekki. Zwłok się nie pali, musi to być przejście z jednego świata do drugiego, według zasady: jakie prowadziłeś życie, taką będziesz miał nagrodę - trafisz albo przed majestat Allaha, albo do piekła. Po przysypaniu grobu ustawia się tabliczkę z imionami. Muslimki (muzułmanki) nie mogą uczestniczyć w pochówku.

J.K. Jak to z imionami, nie macie nazwisk?
Danai: Nie mamy nazwisk. Jesteśmy identyfikowani imionami: pierwszym – moim własnym imieniem, drugim – po ojcu, trzecim – po dziadku. Pomyłki się nie zdarzają.

J.K.: Europejczycy są według Ciebie negatywnie nastawieni do wyznawców islamu?
Danai: Nagonka mediów i kreowany wizerunek wyznawców islamu jest jednoznaczny – islamista, to człowiek-bomba, który wysadza w powietrze siebie i bliźnich w imię Allaha. Religia, którą wyznaję, zakazuje zabijać, religia pozwala nam żyć spokojnie. Tak samo jak inni, słyszę o muzułmanach, którzy umierają śmiercią męczeńską, zabijając innych. Przecież zabójstwo jest ciężkim grzechem... nie rozumiem tego. Dla mnie to pseudomuzułmanie.

J.K.: Czy w Iraku ustabilizowała się sytuacja?
Danai: Jeszcze nie. Bomby słychać tam każdego dnia. Sytuacja pogorszyła się z chwilą wkroczenia wojsk sojuszniczych, wkradł się chaos, zamieszki i prześladowania. Ja i moja rodzina byliśmy prześladowani, musiałem opuścić kraj...

Wywiad przeprowadziła Jana Kałuża

Źródło: Popularna Encyklopedia Powszechna, FOGRA, Kraków 1997

Rosocha

Są miejsca, do których się wraca, które się lubi, w których jest magia, co przyciąga. Wokół Złotoryi, w odległości godziny, może półtorej, jazdy rowerem lub 15-30 minut samochodem są ich dziesiątki: jedne położone w dolinach, inne górują nad okolicą. Mają swój klimat i specyfikę.

Dawno, dawno temu, gdy pod protektoratem pana prof. Gorzkowskiego, z kolegą Tomkiem Hajdunem malowaliśmy/odnawialiśmy szlaki turystyczne wokół Złotoryi (a to „wokół" to były i Okmiany i Rzymówka, i Stanisławów) dane nam było malować drzewa, kamienie, płoty i słupy pomiędzy Leszczyną i Stanisławowem. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z tym miejscem. Wprawdzie przez samą wieś przemknęliśmy dosyć szybko, omijając samo wzgórze, ale pamiętam, że w drodze powrotnej, kiedy jechaliśmy już w kierunku

Sichowa, nagle naszym oczom ukazała się przepiękna panorama Huty w Legnicy. Czy widok Huty może być piękny? Może - wystarczy przejrzyste powietrze, trochę kłębiastych chmurek na niebie, zachodzące słońce i ptasia orkiestra. To była połowa lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Od tamtego czasu sama okolica Stanisławowa i widok z terenu dawnej radiostacji położonej poniżej wierzchołka Rosochy niewiele, a może nawet w ogóle się nie zmieniły. Na południu wciąż stoją Sudety i przy ładnej pogodzie wyraźnie widać Śnieżkę. Czasami, gdy ciemne chmury stykają się z wierzchołkami gór, ma się wrażenie, że Sudety nagle urosły – nie widać bowiem granicy oddzielającej skałę od pary wodnej.

Miejsce jest o tyle ciekawe, że przyciągnąć może do siebie miłośników i turystyki, i techniki, i tajemnic II wojny światowej, i radiotechniki, i saneczkarstwa (to już raczej zimą), i różnych robaczków, zwierzątek, a przede wszystkim pięknych widoków o wszelkich porach dnia a nawet nocy.

Ruiny radiostacji do tej pory nęcą tajemnicą. Nie do końca jednak znany jest status tego terenu. Parę lat temu stanęło ogrodzenie i brama, dzisiaj brama jest otwarta, ogrodzenie niezbyt szczelne i o tym, że może to być własność prywatna, świadczy tylko napis wykonany farbą na budynku: „Teren prywatny" – przytłoczony innymi napisami „My tu malowali", „Guzi", „Tafu" oraz symbolem Polski Walczącej. Dlatego mam zawsze opory, by wchodzić tam, albowiem nie lubię naruszać czyjejś prywatności.

Przepiękne miejsce na schronisko, hotel lub restaurację. O tym, że miałoby to sens, świadczy fakt, iż zawsze (o ile nie są to godziny wczesnoporanne) kogoś można tam zastać, a ilość śmieci jest dowodem, że miejsce często i licznie odwiedzają turyści. Więcej o historii radiostacji oraz różnych hipotezach można znaleźć na stronach internetowych. Wart polecenia jest krótki, nastrojowy film autorstwa „Jackusa" czyli Jacka Kozieła – współautora stron Betonetu (wystarczy w googlach wpisać wyrazy: Jackus i Stanisławów). Dawniej zjeżdżali się tam głównie radioamatorzy, gdyż z tego miejsca znakomicie rozchodzą się fale radiowe.

Trochę wyżej, na szczycie Rosochy (464 m n.p.m.), mieści się chatka turystyczna, „Marianówka". którą opiekuje się oddział zakładowy PTTK przy Hucie Miedzi w Legnicy. Prawdopodobnie można z niej korzystać po uprzednim dogadaniu się z gospodarzami obiektu. Szkoda tylko, że brak na chatce jakiejkolwiek informacji o tym gdzie onego gospodarza znaleźć.

A w kierunku Leszczyny ciągnie się las. Szczerze radzę jednak poruszać się po nim szlakiem turystycznym (czerwonym), bo wiele innych dróg i ścieżek nagle kończy bez uprzedzenia w jakiś krzakach albo pokrzywach. Chociaż i to może mieć swój urok – wszystko zależy, czy podąża się samemu czy samowtór, a ten „wtór" to np. małżonka w miejskim obuwiu. Las obfituje w zwierzynę wszelaką, lecz za dnia raczej ją usłyszymy niż zobaczymy.

Stanisławów to nie tylko Rosocha i ruiny radiostacji. To także łąki i krzywizny krajobrazu. W zależności od pory roku naszym oczom ukażą się przestrzenie o różnych odcieniach bieli, zielone – soczyste łąki, złote pola lub złoto-czerwone lasy. Nawet późną, burą jesienią oraz w bezśnieżną szarą zimę miejsce to ma swój urok.

Sama wieś, licząca niespełna 150 mieszkańców, może już nie jest tak ciekawa (chociaż ma już ponad 800 lat). Godnym zobaczenia jest jednak odremontowany, staraniem mieszkańców i pobliskiej Jednostki Poszukiwawczo Ratowniczej, pomnik upamiętniający niemieckich żołnierzy, pochodzących ze wsi Willmannsdorf, którzy polegli na frontach I wojny światowej.

Do Stanisławowa można udać się pieszo albo rowerem lub samochodem. Można np. podjechać sobie samochodem do Leszczyny a stamtąd czerwonym szlakiem udać się dwa i pół kilometra do Stanisławowa. Akurat wycieczka na niedzielne popołudnie. Rowerem zaś można wybrać się na kilkugodzinną wycieczkę, kierując się w pierwszej kolejności na staw osadowy, później podążając nową, wyasfaltowaną drogą do Prusic, stamtąd do Sichowa, by następnie spróbować swoich sił na pięciokilometrowym podjeździe na szczyt Rosochy. Może dla niektórych brzmi to groźnie, ale większa część trasy wiedzie przez las i to tak gęsty, że nawet w lecie za dnia jest tam dosyć ciemno i przyjemnie chłodno. A samochodem to tylko dwadzieścia minut jazdy. Jeszcze nie tak dawno, można było pomiędzy Sichowem a Stanisławowem w najlepszym wypadku pokrzywić felgi – dzisiaj mamy do dyspozycji wyremontowaną, równą nawierzchnię. Wracając, warto nadłożyć trochę drogi i pojechać w stronę wsi Pomocne, minąć osiedle przy dawnej kopalni barytu – a teraz bazie Jednostki Poszukiwawczo Ratowniczej a stamtąd przez Kondratów i Wilków dotrzeć do domu.

Więcej na temat Stanisławowa, tajemnic radiostacji i historii można przeczytać na stronach internetowych Jednostki Poszukiwawczo Ratowniczej: http://www.jpr-baryt.zlotoryja.pl.

Robert Pawłowski

Na powierzchni jest ciekawiej

O istnieniu odkrywkowej kopalni bazaltu w Męcince świadczy jedynie przyprószony pyłem krótki odcinek jezdni na trasie ze Złotoryi do Jawora. Cały zakład przed oczami postronnych osób skrywają drzewa, obrastające wzgórze. Aby dotrzeć do kopalni, należy minąć czujnego strażnika, który bacznie zlustruje gości i wnikliwie przesłucha „na okoliczność" przybycia. Nam, reporterom EZ udało się przejść ten punkt kontroli bez problemu, bo naszym cicerone był sam dyrektor do spraw technicznych i członek zarządu Kopalń Skalnych Surowców- Zbigniew Lasek. W jego towarzystwie przejdziemy śladem linii produkcyjnej od miejsca, w którym dokonuje się odstrzałów skały do punktu pomiaru wagi wywożonego z zakładu kamienia. Teren zajmowany przez kopalnię jest niezwykle obszerny, co zresztą uzmysłowimy sobie nie tylko spoglądając na mapę, ale obserwując to w naturze. Dobrze, że w najdalsze rejony zawiezie nas samochodem dyrektor. Po tej przejażdżce samochód będzie nadawał się do mycia a my do kąpieli. W lipcowe skwarne popołudnie najbardziej dokuczliwy jest pył, który unosi się przy każdym ruchu powietrza i szczelnie pokrywa nasza skórę i włosy. Mimo wszystko jest tu atrakcyjne. Szczególnie zachwycona jest Agnieszka, której podoba się monstrualnych rozmiarów sprzęt do kruszenia i przewozu kamieni. Dlatego też fotografuje wszystko, co spotka na swojej drodze.

Zaczynamy od najwyżej położonego punktu kopalni. Jesteśmy tak wysoko, że gdyby nie Chełmy, widzielibyśmy Śnieżkę. Pan Lasek uzmysławia nam, że po drugiej stronie, zaraz za ścianą lasu, jest zbiornik Słup. Całe złoże, na którego eksploatację KSS ma koncesję, to obszar około 100 hektarów. W większości jest to, jak na razie, teren porośnięty lasami. Nietknięty przez górnicze maszyny, a zamieszkały przez sarny i dziki. Nas bardziej interesuje to, co widać, i nie jest lasem. A widać wiele. Kiedy stoimy na krawędzi urwiska, pod nami, kilkanaście metrów w dole, rozgrywa się technologiczny spektakl. Za chwilę zjedziemy niżej i obejrzymy go sobie z bliska, najpierw jednak chcemy dowiedzieć się, jak górnicy (tak właśnie należy ich nazywać, a nie skalnikami – uściśla sztygar, który pojawia się na trasie naszej wędrówki) radzą sobie z lita górą bazaltu i rozbijają skały.

Zaskakuje nas nowoczesna metoda odstrzału. Żadnych fajerwerków, drżenia ziemi czy kaskady kamieni. Teraz wszystko odbywa się cicho (jak na te warunki) i estetycznie, a co najważniejsze- bezpiecznie. Niestety, nie możemy zobaczyć samej procedury wiercenia, ani sprzętu, który do tego służy. Nie ma go na wyposażeniu kopalni. Odstrzałami zajmuje się zewnętrzna specjalistyczna firma, której zleca się to spektakularne zadanie. *Tak jest taniej. Jednej kopalni nie stać byłoby na zakup takiego sprzętu i technologii* - twierdzi dyrektor, a my mu bez zastrzeżeń wierzymy. Przed odstrzałem ściana jest mierzona laserowo, potem wykonuje się w niej liczne odwierty na dużą głębokość, nawet 23 metry. Głębokość zależy od wysokości ściany. Kąty wiercenia oblicza się komputerowo. W otwory wkłada się około 100 kilogramów materiału wybuchowego. Pan Lasek nazywa to pulpą. Są to dwa różne żele, które, wlane do otworu i zmieszane ze sobą, stają się materiałem wybuchowym. Do nich doprowadza się zapalnik. Przez kabel, który przypomina lont, przebiega impuls, powodujący wybuch. Kolejne ładunki odpala się seryjnie. Dyrektor porównuje to do wystrzału z karabinu maszynowego. Między wybuchami leżących obok siebie ładunków jest krótka przerwa - około 63 milisekundy. Takie seryjne odpalanie ma uniemożliwić kumulację wybuchu i w konsekwencji, nie daj Boże, uszkodzenie zapory na Słupie, a ta znajduje się w odległości dwóch kilometrów od kopalni. Jednorazowo odpala się do 7 ton ładunku wybuchowego. Dla lepszej orientacji dodamy, że to jak po pół kilograma na mieszkańca Złotoryi. Patrząc na leżące poniżej spągu wyrobiska głazy, podziwiamy efekt niedawnych wybuchów. W zasadzie podziwia je dyrektor, bo my niewiele wnioskujemy z koloru kamienia. Ufamy fachowcowi, kiedy mówi, że jakość niedawno odstrzelonego bazaltu jest wysoka. Nas bardziej interesuje to, co robi się z kilkutonowymi głazami, których nawet olbrzymia koparka nie będzie mogła zabrać na swój podnośnik. *Młot hydrauliczny rozbija bloki na mniejsze głazy, aby nie doszło do zablokowania kruszark*i – wyjaśnia p. Lasek i na dowód swoich słów pokazuje nam stojący kilkaset metrów dalej sprzęt. Zadziwia nas fakt, że wszystkie te olbrzymie maszyny (poza wywrotkami) zasilane są prądem. Faktycznie, uważny obserwator zobaczy wijące się wzdłuż drogi kolosalne kable. Oczywiście Agnieszka znowu wzdycha z zachwytu.

Teraz pora, by zobaczyć, jak powalone głazy pakuje się na wywrotki i wywozi do kruszarek. Zjeżdżamy na niższy poziom kopalni. Po drodze zatrzymujemy się obok niewielkiego jeziorka na dnie wyrobiska. Ciekawy widok, jak nie z tego świata. W wodzie pływają ryby, nad wodą latają motyle a tuż obok przejeżdża, kurząc niesamowicie, aczkolwiek tradycyjnie w tym zakładzie, wywrotka, której koło jest większe ode mnie. Kierowca zadziwia olbrzymimi słuchawkami na uszach. Czyżby meloman? *Nie* - rozwiewa nasze wątpliwości dyrektor - *hałas w kabinie jest trudny do zniesienia, więc chroniąc słuch, trzeba jeździć w tych nausznikach.* Warunków pracy nie zazdroszczę kierowcy, szczególnie dziś, kiedy upał jest nie do zniesienia, a on o klimatyzacji może sobie jedynie pomarzyć. Dyrekcja kopalni stara się w miarę możliwości podnosić jakość warunków pracy i dlatego też zakupiła (na razie jedną) monstrualnych rozmiarów, nowoczesną wywrotkę z klimatyzowaną kabiną. Ale kierowców jest kilku, a ona jedna. Mamy jednak nadzieję, że na tej jednej się nie skończy.

Podążając tropem wielkiego białaza dojeżdżamy do kolejnego miejsca godnego reporterskiej uwagi. Jest to punkt załadunku kamieni na wywrotki. W koparce, która przypomina wielkością i formą jednorodzinny domek, siedzi operator, i z precyzją godną zegarmistrza nabiera na łyżkę kamienie, by wrzucić je na kiper wywrotki. Hałas spadających kamieni imituje grzmoty burzy. Pięć, sześć takich łyżek i wywrotka odjeżdża w stronę kruszarek. My, w bezpiecznej odległości, za nią. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby jeden z załadowanych kamieni w sposób niekontrolowany opuścił swoje miejsce. Jedziemy, gawędząc o pieniądzach i płacach w kopalni. Ciężkie, jak na moje oko, warunki pracy rekompensuje godna, według pojęcia pracownika budżetówki, płaca. Może kwota pensji zasadniczej nie brzmi oszałamiająco, ale do tego dochodzą tzw. osłony socjalne i inne przywileje płacowe: bony dwa razy w roku po tysiąc złotych, ekwiwalent na ubranie robocze, codzienne posiłki regeneracyjne, trzynasta pensja i nagroda z zysku. Po tym, co słyszę, już mniejsze współczucie mam dla kierowcy w nieklimatyzowanej kabinie białaza. Może lepiej, by moim ministrem był Aleksander Grad a nie Katarzyna Hall .

W tej kopalni, jak w Ameryce, wszystko jest wielkie. Ceny maszyn również. Z ciekawości pytam o cenę jeżdżących tu samochodów. Nowy białaz kosztuje 700 tysięcy złotych. Jednak taka maszyna eksploatowana jest nawet przez 20 lat. Niezły wynik. Za kupioną niedawno przez kopalnię kruszarkę zapłacono 200 tysięcy euro. Inwestycje pochłaniają lwią część zysków. Jednak od kilku lat kopalnia wychodzi na prostą. I co najważniejsze, zaczyna przynosić zyski. Roczna sprzedaż kruszywa opiewa, według pobieżnych wyliczeń dyrektora, na kwotę ponad 20 milionów złotych. Boom autostradowy dobrze rokuje dla kopalni w Męcince.

Dojeżdżamy do kruszarek. Tu za chwilę kierowca na dany znak opuści kiper wywrotki a kamień wyląduje w urządzeniu, z którego wyjedzie już w znacznie mniejszej postaci. Cały ten proces kontroluje w sterowni dwóch pracowników. Wspinamy się do ich posterunku po metalowych schodach, otrzepując się bezskutecznie z uparcie nękającego nas pyłu. Sterownia okazuje się ciasnym, jak na nasze liczne towarzystwo, miejscem. Panuje tu nie tylko dokuczliwy hałas ale i upał. Można co prawda otworzyć okna i wpuścić trochę powietrza, ale wtedy nie słyszelibyśmy nawet własnych myśli. Pracujący tam mężczyźni nie są nawet spoceni. Cóż, przyzwyczajenie jest drugą naturą. Po nas płynie pot, który na dodatek miesza się z kurzem. Wyglądamy malowniczo. Od razu widać, że jesteśmy tu OBCY. Panowie w sterowni żałują, że nie przyjechaliśmy kilka dni wcześniej. *Wtedy to leciały tu kamienie* – mówią z podziwem – *To był dopiero hałas. Nawet musieliśmy głazy wyciągać suwnicą, bo klinowały kruszarkę. Szkoda, że tego nie widzieliście. To, co dziś idzie, to drobiazg.* Drobiazg czy nie – wrażenie robi. Z każdej kolejnej nitki kruszarki wychodzi coraz mniejszy kamień. Każdy ma swoją nazwę, która zależy od wielkości produktu. Największy jest tłuczeń, potem kliniec, drobniejszy od niego jest grys, najdrobniejszy – miał. Z ostatniej kruszarki wylatuje deszcz kamyczków, który usypuje atrakcyjną wizualnie górę. Teraz nawet ja nie mogę powstrzymać zachwytu, widząc regularny stożek, nad którym unosi się mgiełka…pyłu, a jakże. Kilka kamieni zabieram ze sobą. Choć nie wiem po co.

Kiedy tak kontemplujemy widoki, ponownie pojawia się sztygar. Jest to młody człowiek ze Złotoryi, który sześć lat temu ukończył studia na wydziale górnictwa. Pan Wojciech nie wyobraża sobie pracy w innym miejscu. Kiedy pytam, czy nie chciałby pracować w prawdziwej (w moim rozumieniu: pod ziemią) kopalni, zdziwiony odpowiada: *A ta nie jest prawdziwa? Poza tym na powierzchni jest ciekawiej a pod ziemią niebezpiecznie* – dodaje. Jego zadaniem w Męcince jest kontrolowanie przebiegu produkcji a poza tym ochrona środowiska. Skoro mam przed sobą fachowca od ekologii, pytam o wpływ tego wszechobecnego pyłu na środowisko. Drzewom, które rosną na terenie zakładu, kurz zdaje się nie przeszkadzać. A co ciekawe, nawet pomaga. Powulkaniczna skała w tej sproszkowanej formie pełni funkcję nawozu, użyźnia glebę. *Bazalt nie jest toksyczny, jedynie uciążliwy* – dodaje dyrektor – *Stąd też nie ma u nas chorób zawodowych.* Prawdziwym rarytasem dla wielbicieli natury może być jedna ze ścian wyrobiska. Upodobały ja sobie jaskółki, dlatego usiana jest setkami gniazd tych ptaków. Teren jest pod szczególnym nadzorem pracowników kopalni. Nikt nie chciałby zrobić krzywdy jaskółkom. Roboty w tym miejscu są wstrzymane, przynajmniej do momentu, kiedy młode opuszcza swoje gniazda.

Zmierzamy do końcowego etapu produkcji, kiedy słychać sygnał dla pracowników, że pora na przerwę śniadaniową. Mimo że jest osiemnasta, czyli połowa drugiej zmiany, w kopalnianym języku nazywa się ten czas śniadaniem. Górnicy idą do stołówki, gdzie czeka na nich gotowy posiłek serwowany przez jedną z nielicznych w tym miejscu kobiet. My, nie przeszkadzając w jedzeniu, zwiedzimy w tym czasie biuro kopalni. Pomieszczenia biurowe nie wzbudzają już w nas takiego entuzjazmu, jak poprzednie widoki. Interesująca jest na pewno aparatura do pomiaru wielkości całej dziennej produkcji czy tablica, na której wiszą znaczki pracowników – swoista lista obecności górników. Wynika z niej, że na drugiej zmianie pracuje dzisiaj czternastu ludzi.

Ostatnim punktem naszej wyprawy jest waga, na której waży się samochody przybywające do kopalni po kamień oraz wyjeżdżające z niej. Waga jest w zupełności zautomatyzowana. Pełny monitoring. Siedzący w pomieszczeniu pracownik obserwuje na dwóch ekranach podjeżdżające auta i lustruje czystość skrzyni ładunkowej. Wdrożony w kopalni system zarządzania jakością nakazuje taką procedurę. Samochód, który przyjeżdża po towar, jest ważony. Wynik zapamiętuje komputer a potem przy wyjeździe odejmuje tę wagę od końcowego ciężaru. Pracownik wypisuje kwit i zezwala kierowcy na wyjazd. Nie możemy oprzeć się chęci sprawdzenia, jak działa waga. Dlatego też po kolei wchodzimy na drewnianą platformę i obserwujemy wyświetlający się na monitorze wynik. Nastraja to nas optymistycznie do czasu, kiedy pan Lasek mówi, że waga ma tolerancję 20 kilogramów. Dla ciężarówki z kruszywem to nic, dla nas- o wiele za dużo.

Nasza wyprawa dobiega końca. Wracamy do Złotoryi umorusani, obciążeni kamieniami i syci wiedzy. Tym razem jedziemy przez Męcinkę, Pomocne, Kondratów, Wilków. To trasa 42 kilometrów, które w wolnym czasie przemierza na rowerze dyrektor Lasek. Nie dziwi nas jego zachwyt tą drogą. Zieleń, zieleń, zieleń i ani śladu powulkanicznego pyłu.

tekst Iwona Pawłowska
zdjęcia Agnieszka Młyńczak

Rada Miejska

XX. sesję Rady Miejskiej przewodniczący Andrzej Zając zwołał w dn. 18 VI 2008. Dwunastu radnych rozpoczęło debatę, a zakończyło – czternastu.

Stałym i pierwszym punktem jest **informacja Burmistrza o pracy między sesjami RM**. Burmistrz **Ireneusz Żurawski** przypomniał o najważniejszych działaniach: m. in. o przetargu na sygnalizację świetlną przy ul. WP / Słoneczna, pozwoleniu na przebudowę kanalizacji przy ul. Basztowej, aktualizacji projektu budynku przy ul. Szkolnej, dotacji z Urzędu Marszałkowskiego na renowację dwóch fontann, o wnioskach na nowe dotacje, o nowych placach zabaw, o Święcie Miasta. Rzadko, a nawet bardzo, zdarza się , **że radni nie zgłaszają żadnych wniosków oraz interpelacji**. Sezon ogórkowy jeszcze się nie rozpoczął, lecz nastrój na sali był pogodny ale i rzeczowy.

Nie popsuł go również następny i najistotniejszy punkt sesji: **funkcjonowanie Przychodni Rejonowej w Złotoryi**. Rajcowie przepracowali tę problematykę bardzo dokładnie na komisjach, toteż na samej sesji „przeszła" spokojnie. Zajrzałem więc do materiałów sesyjnych, aby coś konkretnego przekazać Czytelnikom „EZ". Przychodnia Rejonowa przy ul. Kwiskiej 1, poza zadaniami wchodzącymi w zakres podstawowej opieki medycznej, wykonuje dodatkowe usługi diagnostyczne oraz udziela porad specjalistycznych. Należy do nich poradnia kardiologiczna (2 x w miesiącu), 1 x w tygodniu poradnia pulmonologiczna (dopiero w słowniku języka polskiego znalazłem wyjaśnienie: „dział medycyny, nauka o anatomii, fizjologii i chorobach układu oddechowego"), także 1 x w tygodniu wykonywane są badania słuchu, 2 – 3 x w tygodniu badania wzroku, działa też prywatny gabinet neurologiczny (1 x w tygodniu), przynajmniej 1 x w tygodniu przyjmuje urolog (prostata) oraz prowadzone są (odpłatnie) badania przepływu żył i tętnic. Istnieje potrzeba badań mammograficznych i osteoporozy. Od 3 lat działają gabinety świadczące porady w zakresie psychiatrii i leczenia uzależnienia alkoholowego. Stan zatrudnienia (1 I 2008) – 36 osób; 7 pielęgniarek środowiskowych oraz położna zatrudnione są na innych zasadach. W placówkach szkolnych opiekę medyczną sprawowało 5 pielęgniarek.

W r. 2007 w placówce realizowano 3 programy finansowane przez Narodowy Fundusz Zdrowia – dotyczący układu krążenia (122 osób), raka szyjki macicy (241), przewlekłej choroby płuc (300). Profilaktyką stomatologiczną objęto 231 sześciolatków. W tymże roku lekarze pierwszego kontaktu udzielili 70.722 porady (zapisanych pacjentów jest 18.300 osób), w gabinetach wykonano 25.955 zabiegów. Z bardziej typowych badań wykonano: EKG – 2701, USG – 1828, cukier – 5208, mocz - 1387, OB. – 2453, ciśnienie – 2315. W ramach odrębnej umowy z NFZ przychodnia działa też w soboty, niedziele i święta (3700 porad i 6300 zabiegów).

Aktualnie (czerwiec 2008) sytuacja finansowa Przychodni „jest zadowalającą – rok 2007 zamknął się zyskiem (62.616,22 zł)". Placówka utrzymuje płynność finansową. Pracownicy podnoszą kwalifikacje zawodowe. Z zamierzeń przewidywanych do realizacji w latach następnych znalazło się m. in. utrzymanie gabinetów dentystycznych oraz gabinetów profilaktyki pomocy przedlekarskiej w szkołach oraz realizacja programów profilaktycznych. Informację na piśmie przygotowała oraz ustnie złożyła **Maria Filipowicz**, kierowniczka PR w Złotoryi.

Ksiądz, nauczyciel i lekarz – to profesje które wymagają choćby minimum tego, co zwykliśmy nazywać powołaniem. Jeśli go nie stanie, niechby w porę, i jak najszybciej zrezygnowali, z obranej drogi. Starszym złotoryjanom przypominam, a młodym – uświadamiam, że do początku lat 90. „Ośrodek Zdrowia" mieścił się w budynku, w którym obecnie siedzibę ma Starostwo Powiatowe. Korowód „starych" i zasłużonych lekarzy, i bardzo ofiarnych, jest długi: otwiera go najprawdopodobniej lekarz Schulz (Niemiec) i Henryk Borejko (do pacjentów dojeżdżał nawet konno wierzchem). Następnie: Maria i Ignacy Drexlerowie, Maria i Andrzej Wolańczykowie, Danuta i Jerzy Peszkowie, Janina i Henryk Bartosiewiczowie, Alina Bald, Longina Ruta, Jerzy Stryczek, Jacek Rudnicki, Kazimierz Baranowski, felczer Paweł Śnieżko, felczer Tadeusz Słomiany.

W „Ośrodku" przyjmowali też „specjaliści" z Wrocławia: Iwankiewiczowie, Jerzy Hołyst, Krauze, Prus. . . Przyjmowali raz w tygodniu i nieraz do 23^oo^ - nikt z zarejestrowanych nie odszedł bez porady.

W budynku obecnej Przychodni miało być Przedszkole nr 7. Magazynierowi z Ciechanowa wręczyłem jako podziękowanie, dwa „Stocki" (świadek Władysław Bąk), ażeby łatwiej mu było „pomylić" złotoryjską kartotekę i przesunąć ją do przodu (a inspektor oświaty nie miał tzw. funduszu reprezentacyjnego). Stanęły ściany, dyrektorka Przedszkola nr 7 zaczęła nawet pełnić obowiązki. . . Teraz, w Przychodni, rozwija swój talent nowy zastęp złotoryjskich medyków; wierzmy i życzmy mu (i całemu personelowi), żeby udało im się dotrzymać złożonego ślubowania.

W równie spokojnym trybie radni przyjęli pakiet 7 uchwał, w tym m. in. nową taryfę (czytaj: podwyżkę) za wodę i ścieki. Żeby z gąszcza przepisów i cyfr (oczywiście uzasadniających konieczność podwyżki!) prawidłowo wyłuskać istotę rzeczy, musiałem wziąć "korepetycje". Po nich wiem teraz, że za 1m² wody pitnej będę mógł zapłacić (od 1 VIII 2008) – 2.40 zł., (wzrost o 27 gr. netto), a za 1m² ścieków – 3.80 zł. (wzrost o 43 gr. netto). Odbiorcy tzw. grupy II (przemysł, szkoły, żłobki, hotele, gastronomia) odpowiednio: 2.47 zł. (wzrost o 29 gr. netto) i 3.80 zł. (wzrost o 43 gr. netto). Rajcowie bez „korepetycji" (tzn. bez zapytań) głosowali: 9 – za, 1- przeciw (Lilia Wolańska), 4 – wstrzymało się od głosu.

Niedawno, na sesji Rady Powiatu rozegrała się mała batalia o podwyżkę wynagrodzenia starosty R. Raszkiewicza. Rada Miejska na podwyżkę dla Burmistrza zdecydowała się bez sprzeciwu, przy 5 wstrzymujących się i 9 – za (pobory Burmistrza nie ulegały zmianie od 2005 r.). Obecnie kształtują się następująco: 5.500 – pobory zasadnicze, 2.000 – dodatek funkcyjny, 40% dodatku specjalnego od wynagrodzenia zasadniczego i dodatku funkcyjnego. A więc rajcowie byli tego dnia hojni – wszystkim (?) dawali. Ale podwyżki naszego Burmistrza i Starosty, nawet razem wzięte, są niczym w porównaniu z nagrodą, jaką przyznał sam sobie prezes IPN (60 tys.). Nie poskąpili również sobie, gdyż projekt uchwały „w sprawie zmiany Statutu Miasta Złotoryja" należy rozumieć jako podwyżkę diety radnych z 7 na 8% średniego uposażenia (obecne 7% oznaczało 213 zł. brutto). Z 13. radnych jeden głosował przeciw – R. Gorzkowski.

Radni przyjęli również uchwałę w sprawie wystąpienia Złotoryi z Międzygminnego Związku Gmin „Unia Gmin Śląskich". Była to nietypowa uchwała, gdyż jak stwierdził **Burmistrz** „Unia uległa samoczynnemu rozwiązaniu".

W sprawach różnych głos zabrali: **Kinga Maciejak** – podziękowała za plac zabaw w imieniu mieszkańców ul. Piastowej; **Bogdan Łoś** – w sprawie funkcjonowania komunikacji; **Tadeusz Oleksów** – w sprawie zwiększającego się deficytu miejsc do parkowania pojazdów. W tej ostatniej kwestii Burmistrz odpowiedział tyle enigmatycznie co optymistycznie: „teraz nie ma możliwości, ale myślę, a to znaczy, że coś wiem – ale za dwa lata". Mimo sezonu urlopowego, Burmistrz poprosił szefa RM, A. Zająca, o zwołanie kolejnej sesji w dn. 17 VII 2008 (Czwartek).

Słownik:

Burmistrz, z niem. Bürgermeister, magister civium; „przełożony w urzędzie miejskim nad sprawami radzieckimi, czyli cywilnemi". Najpierw miastu przewodził dziedziczny wójt (z niem. Voit, Vogt) – w Złotoryi pierwszym był Klemens (1233). Ale z prawa madgeburskiego wynikało, że mieszczanie mieli wolny wybór swojej zwierzchności – radę miejską stanowili rajcy i burmistrz, który radzie przewodniczył. „Burmistrz jako pierwszy urzędnik miejski przodkował radzie. . . Jemu przedniejsze należało się miejsce w ratuszu, w kościele, na procesjach"; miał straż i pieczęć, urzędował przez rok – zawsze w ratuszu, wybierany przez rajców na rok. W Polsce międzywojennej był przewodniczącym zarządu miejskiego, wybieranym przez radę i zatwierdzanym przez starostę. Z uwagi na to, że burmistrzem można było być wybieranym wielokrotnie, w historii Złotoryi zdarzało się, iż przez wieki burmistrzowały tu wybitne rody, np. Helmrich (XVI w.) lub Feige (XVII i XVIII w.).

W Polsce Ludowej urząd burmistrza utrzymano do r. 1950 – pierwszym powojennym burmistrzem Złotoryi był Leon Chojnacki. Później jego funkcje przejął „przewodniczący prezydium miejskiej rady narodowej" (do 1973), a następnie „naczelnicy miast" (do 1990 r.). W historii Złotoryi był jeszcze epizod „naczelnika miasta i gminy" (1988 – 91) oraz fakt, że jedynym burmistrzem, jako „ przewodnicząca prezydium miejskiej rady narodowej" była kobieta – Janina Maślany (kilka miesięcy). Pierwszym burmistrzem w „nowych czasach" został Kazimierz Zwierzyński. Pierwsi burmistrzowie (i wójtowie) byli wybierani przez radę. Obecny burmistrz (I. Żurawski) został już wybrany w wyborach powszechnych, stąd i jego pozycja jest zdecydowanie mocniejsza, niż jego poprzedników.

Całe zastępy świetlanych złotoryjskich burmistrzów zawsze rezydowały tam, gdzie należy – w ratuszu. Wierzę, że któryś z burmistrzów (I. Żurawski?) zrezygnuje wreszcie z dobrodziejstwa spadkowego pierwszej władzy ludowej i wróci do ratusza. I do „grzybka" byłoby bliżej! (To uszczypliwość ale do tematu „ratusz" będę ustawicznie wracał).

Alfred Michler

Rada Gminy

Józef Pawlus, przewodniczący Rady, XVII sesję zwołał w dniu 27 czerwca 2008 r. Po złożeniu informacji z działalności między sesjami przez Wójta Gminy, radni zgłosili szereg **wniosków i interpelacji**. Głos zabrali: **Jacek Parański** (Wilków-Osiedle) w sprawie chodnika i w podobnej sprawie Irena Bratek (Wilków-Wieś), dodając sprawę boiska sportowego; **Aleksander Didenkow** (Jerzmanice-Zdrój) w sprawie rowów przy drogach powiatowych, mostu oraz oświetlenia ulicznego; **Zenon Baranowski** (Gierałtowiec) w sprawie niewłaściwego wykorzystywania odpadów budowlanych, a także w sprawie oświetlenia ulicznego; **Bronisław Cich** (Rokitnica) w sprawie przydrożnego terenu między Łaźnikami a Rokitnicą; **Maciej Jasiński** (sołtys Wysocka) w sprawie boiska oraz remontu drogi.

Zasadniczym tematem sesji była **informacja o stanie oświaty w Gminie Złotoryja – podsumowanie roku szkolnego 2007/08.** *Topograficzna mapa gminnej oświaty zasadniczo różni się od tej na przykład sprzed 35.lat. Zniknęły z tej mapy takie miejscowości jak: Brennik, Wysocko, Wilków-Wieś, Sępów, Łaźniki, Leszczyna, Nowa Wieś Złotoryjska. Szkoły w tych miejscowościach zlikwidowano w ramach tworzeniach zbiorczości. Zapatrzono się głównie w ekonomiczne następstwa reformy oświaty (czytaj: szukano oszczędności). Duże zbiorcze szkoły miały decydować o postępie w oświacie. Okazało się to nie w pełni spełnioną nadzieją. Natomiast niewątpliwe jest, że miejscowości te zubożono pod względem kulturowym i społecznym. Ubocznym skutkiem wówczas przeprowadzonej reformy systemu oświaty było zniszczenie lub zawieruszenie ważnej dokumentacji dotyczącej tych szkół. Wszystkie te szkoły zlikwidowano przed około 35. laty. Likwidacja szkoły w Prusicach jest już efektem „nowych czasów" i jest to wypadkowa tyle zamiarów władz gminnych, ile niklej mobilizacji samej wsi w obronie swojej szkoły. Spod tego topora zdołały wymknąć się Jerzmanice-Zdrój dzięki założeniu Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Wsi.*

Aktualnie Gmina Złotoryja administruje 5. szkołami, w tym 3. podstawowymi (Wilków-Osiedle, Gierałtwiec, Rokitnica) oraz 2. gimnazjami (Wilków-Osiedle, Lubiatów). Kolejną placówką jest Szkoła Podstawowa w Jerzmanicach-Zdroju, prowadzona przez wymienione wyżej Stowarzyszenie oraz starościński Dom Dziecka w Wilkowie – Osiedlu. Baza tych szkół jest systematycznie poprawiana pod względem technicznym, lecz potrzeby w tym względzie nie są jeszcze zaspokojone.

Największą szkołą w gminie jest SP w Wilkowie-Osiedlu: 287 uczniów oraz 26 nauczycieli. Największe zagęszczenie występuje w Gimnazjum Wilków (20,5 ucznia na oddział), natomiast najmniejsze – w SP Rokitnica (10). Warto zatrudnić się właśnie w SP Rokitnica, gdyż tam zarobki uksztaltowały się na najwyższym poziomie, a na najniższym w Gimnazjum Lubiatów (różnica wynosi ponad 1 tysiąc zł).

Bardzo dużo uczniów dojeżdża lub jest dowożonych do szkoły. W liczbach bezwzględnych najwięcej jest takich uczniów w SP Wilków-Osiedle (157), zaś procentowo ich udział jest największy w Gierałtowcu i Rokitnicy. Najwięcej dzieci dojeżdżających pochodzi z Lubiatowa i Prusic. Dowożenie uczniów oparte jest na własnych środkach transportu (2 gimbusy należące do SP Wilków i SP Gierałtowiec). Inne dzieci dojeżdżają specjalnymi kursami PKS. Jest również grupa dzieci dojeżdżających do szkół złotoryjskich – tym dzieciom gmina zakupuje bilety. Dowożenie samo w sobie nie musi jeszcze oznaczać negatywnych następstw. Jeśli jest dobrze zorganizowane i jeśli szkoły podołają trudnemu obowiązkowi dożywiania dzieci, to dłuższy pobyt dziecka poza, nieraz patologicznym, środowiskiem rodzinnym może dla niego być nawet korzystne.

Dożywianie uczniów jest niezmiernie ważkim problemem społecznym. Władze gminy i placówki oświatowe radzą sobie z nim w sposób właściwy: wszystkie szkoły prowadzą dożywianie. W zależności od warunków przybiera ono różne formy: posiłki jednodaniowe, kanapka , bułka, herbata. Te działania wzbogacają takie akcje jak: program „Pajacyk" (prowadzony przez Polską Akcję Humanitarną), „szklanka mleka", „doskonałe mleko dla szkół". Dla części dzieci posiłki finansuje Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej. W liczbach naturalnych oraz procentowo najwięcej dzieci korzystających z dożywiania jest w SP Wilków i SP Gierałtowiec. Z 849 uczniów z dożywiania korzysta 468.

Nie ma placówki oświatowej w gminie, która nie angażowałaby się w działalności środowiskowej lub nie organizowała zajęć pozalekcyjnych. Nieraz są to programy o charakterze międzynarodowym (np. Comenius Sokrates w Rokitnicy i Lubiatowie) lub ogólnopolskim. W każdej szkole prowadzone są zajęcia w formie kół zainteresowań oraz sportowe.

Placówek Gminy Złotoryja nie omijają niestety zjawiska patologiczne. W ostatnich latach ulegają one nasileniu (problem omawiano również na ostatniej sesji). Nowym i niepokojącym zjawiskiem jest brak dostatecznej opieki nad dziećmi w przypadku emigracji zarobkowej rodziców – problem ten dotyczy każdej szkoły w gminie (na sesji Rady Miejskiej problemu tego nie wskazano i nie omawiano). We wszystkich szkołach zainstalowano monitoring.

Niektórym menadżerom marzy się, ażeby i na oświacie zarabiać. Słychać utyskiwania, jak wiele to środków pochłania oświata. I tak jest rzeczywiście. Lecz ci narzekający nie chcą już sprawdzić, ile środków łożą na oświatę i wychowanie kraje zachodnie, np. skandynawskie. Tam już dawno doszli do wniosku, i są o tym przekonani, że na oświacie i wychowaniu oszczędzać nie wolno, gdyż są to oszczędności pozorne. Zgodnie ze starym przekładem: „jak krawiec kraje, jak materii staje".

W latach poprzednich oraz w roku 2007 wydatki na oświatę stanowiły największą pozycję w budżecie gminy (ponad 32%). Otrzymywana z resortu subwencja oświatowa nie pokrywa kosztów zatrudnienia. Bieżące utrzymanie placówek, inwestycje oraz remonty- to zadanie gminy. Koszty utrzymania jednego ucznia są wypadkową wielu spraw – na terenie gminy najwyższe są w Rokitnicy. Dysproporcja jest znaczna ale przecież rodzice oddają do szkół swój największy skarb i dlatego najistotniejsze jest, w jakich warunkach, w jakim otoczeniu społecznym oraz naturalnym dziecko pobiera naukę – nie może decydować o istnieniu szkoły nawet najlepszy księgowy! Od nowego roku szkolnego przestaje obowiązywać porozumienie między Gminą Złotoryja a miastem Złotoryja w sprawie ponoszenia kosztów utrzymania przez Gminę za tych uczniów, którzy uczęszczali do szkół miejskich – umowę wypowiedziała Gmina Złotoryja (uczniowie, którzy już rozpoczęli naukę w mieście, mogą ją tu kontynuować na dotychczasowych zasadach).

Władze gminy oraz dyrektorzy placówek myślą nie tylko o dniu dzisiejszym. Wartościowe są ich zamierzenia na przyszłość. W zakresie inwestycji zwraca uwagę budowa sali gimnastycznej oraz bloku żywieniowego w SP Gierałtowiec (nie dało się tego zrealizować w trakcie rozbudowy i rozległego remontu w latach 1989 – 90). Planowana jest modernizacja centralnego ogrzewania, a także budowa zespołu boisk w ramach programu „Orlik" w Wilkowie – Osiedlu. Ze spraw organizacyjnych uwagę zwraca zamiar powołania zespołu szkół w Gierałtowcu na bazie obecnej Szkoły Podstawowej oraz ewentualnego gimnazjum oraz dążenie do objęcia opieką przedszkolną większej niż dotąd ilości dzieci.

W dyskusji na temat problemów oświaty gminnej wypowiedzieli się: **Czesław Czapliński** (Lubiatów), **Jacek Parański** (Wilków – Osiedle), **Wiesława Lizoń** (Rzymówka), **Wioleta Zając** (Jerzmanice – Zdrój), **Stanisław Piątek** (Rokitnica – Łaźniki), **Jan Tymczyszyn** (Lubiatów) oraz sołtys z Brennika – **Jan Krzepisz**.

Na zakończenie sesji radni podjęli kilka uchwał, w tym między innymi, w sprawie: zmiany w budżecie na rok 2008, planów pracy Rady Gminy oraz jej komisji. Radni w trybie uchwały nie wyrazili zgody na rozwiązanie stosunku pracy z radnym.

Na podstawie konsultacji z Marią Jędrzejkiewicz oraz materiałów sesyjnych opracował

Alfred Michler

Słownik

Sekretarz: Wg encyklopedii Orgelbranda, w ogólności „oznacza pisarza, używanego pierwotnie do pisania spraw tajemnych". Rdzeń tego słowiańskiego wyrazu pozostał jeszcze do dziś u braci Czechów – ich sekretarz to „tajemnik", prawa ręka „starosty" czyli ich burmistrza. W dawnej Rzeczypospolitej sekretarze wielcy byli urzędnikami wysokiej rangi. Sekretarz gminy, miasta, powiatu w obecnej strukturze władz samorządowych to stanowisko równorzędne skarbnikowi. „Tajemnikami" są obecnie: w gminie – Janina Ziółek, w mieście – Włodzimierz Bajoński, w powiecie – Bożena Knapik.

Alfred Michler

„Pokonkursie"

Dzisiaj publikujemy pracę autorstwa Patrycji Lach z Gimnazjum w Zagrodnie. Praca zajęła trzecie miejsce w konkursie "Złotoryja i powiat jako atrakcja turystyczna".

Trudno być Żydem

Legnica, 31 maja 2008 r.

Szanowna Redakcjo,
w Waszym artykule pt. „ Judaizm”, opublikowanym w kwietniowym numerze br. znalazło się kilka nieścisłości i rażących błędów dotyczących judaizmu. – religii mojżeszowej. Ponieważ jestem Żydem z dziada pradziada (prawda, religijnie niekształconym) i aby Wasi czytelnicy nie mieli mylnego pojęcia o judaizmie, pragnę złożyć sprostowanie do ww. artykułu(...)

Przede wszystkim- w codziennym życiu człowiek zobowiązany jest kierować się rzetelną wiedzą i jedyną prawdą. W porównaniu do Żydów, którzy kilkanaście, kilkadziesiąt lat wstecz żyli w Legnicy, pobierali przed wojną nauki w żydowskich religijnych szkołach, moja wiedza jest śladowa, ponieważ *liznąłem* judaizm powierzchownie, praktycznie mieszkając w Legnicy, w środowisku żydowskim, gdy były różne instytucje żydowskie: Towarzystwo Społeczno – Kulturalne, Gmina, przedszkole, szkoła, teatr, klub, wydawnictwa literackie, czasopisma, zespoły ludowe, koła zainteresowań, orkiestry dęte, smyczkowe, itd. itp.

Nie patrząc na to, że obecnie w Legnicy mieszka nieliczna grupa halachicznych (pochodzących od matki Żydówki) Żydów, uważam za swój obowiązek sprostowanie mylnych, nieprawdziwych wiadomości o religii mojżeszowej.(…).

Otóż mity opowiadane przez osoby nieprzychylne Żydom odnośnie grzebania zmarłych zawierają karygodne błędy. Opiszę w skrócie, jak chowano mego ojca w 1976 r. w Legnicy, gdy wyznawców judaizmu było stosunkowo dużo z odpowiednią wiedzą religijną. Zasada jest taka, żeby ciało jak najszybciej zostało pochowane, oddane ziemi. Odpowiednia grupa zajmująca się pochówkiem (mężczyźni dla mężczyzn, kobiety dla kobiet) myje ciało zmarłego, a następnie ubiera w strój biały z nowego płótna – koszula i luźne spodnie. Pobożni Żydzi dodatkowo owijani są w tałesy, ich szale modlitewne, a kobiety w białe *prześcieradła*. Oznacza to, że przed Bogiem wszyscy – biedni i bogaci – są równi. Zmarły układany jest w normalnej, leżącej pozycji, na wznak. Pod głowę zmarłego kładzie się poduszeczkę z białego płótna, wypełnioną piaskiem. Na powieki kładzie się kawałki stłuczonego talerza, glinianego garnuszka, żeby zmarły *nie był zawistny* na tamtym świecie, a w ręce wkłada się rózgi, żeby *mógł szybko podeprzeć się i stanąć na Sąd Ostateczny przed obliczem Boga.* Wykopany grób skierowany ku wschodowi, w stronę Jerozolimy, wykłada się nieheblowanymi deskami, niezbitymi gwoździmi, układa się ręcznie owinięte ciało nieboszczyka. Następnie nakrywa się deskami grób i biorący udział w pogrzebie ludzie tradycyjnie rzucają garść ziemi na powstałą w grobie skrzynię. Odmawia się modlitwę za zmarłego i stopniowo zasypuje się grób, zapala się znicze, świece. Wieńce, kwiaty nie są raczej stosowane.

Z powyższego wynika, że zmarłego nie ubiera się w garnitur, a utworzona *trumna* nie jest wysoka **„aby można było zmarłego w niej posadzić”**! Również *z „* **kamieni**” nie „**usypuje się kopca”.**

Po wyjściu z cmentarza należy symbolicznie umyć, spłukać wodą ręce, tym samym pozostawiając wszelkie *nieczystości*, w tym i duchowe na cmentarzu.

Żydzi nie urządzają stypy. Żałoba polega na tym, że np. syn przez 30 dni nie goli się i 7 dni siedzi bez butów na niskim stołeczku umartwiając się i wspominając zmarłego. Przez ten czas przychodzą znajomi, przyjaciele, rodzina, żeby pocieszyć żałobnika. W domu odmawia się modły, gdy zbiera się grupa 10 mężczyzn powyżej 13 roku życia- w pełnoletniości religijnej. Pokój żałobnika ma wygląd ponury: lustra, telewizor, radio, itd. zasłania się ciemnymi kolorami. Na znak żałoby mężczyźni – bliscy krewni zmarłego – rozcinają klapę marynarki, płaszcza. Otoczenie *jest powiadomione* o tragedii w jego domu. Nagrobek – macewę stawia się po zakończeniu odmawiania kadisz, tzn. 11 miesięcy od pogrzebu. Na grób zmarłego odwiedzający zazwyczaj kładą kamyk, a ilość kamyków w danym roku oznacza częstotliwość i pamięć odwiedzanego grobu. Na pomniku nie wolno umieszczać zdjęć, podobizn zmarłego.

Tak wyglądał pogrzeb i okres żałobny po śmierci mego ojca. (…) Jak na każdym cmentarzu, tak i na żydowskim, istnieje ewidencja – księga zmarłych. Co to ma wspólnego z księgą nijaką repatriantów???

Absurdalne jest stwierdzenie, że **„ze Złotoryi nikt się jeszcze nie ujawnił i nie zgłosił się do nas”.** W tym miejscu pragnę zaznaczyć, że mieszkamy w demokratycznej, wolnej RP, a Żydzi od ponad 800 lat są jej obywatelami i stanowią legalną mniejszość narodową ze swoją kulturą, religią, językiem, tradycją w odróżnieniu od hiszpańskiej inkwizycji, hitlerowskiego Holocaustu. Dlatego dla mnie takie określenie jest obce, obrzydliwe. Nigdy nie ukrywałem się (poza Holocaustem) i nie ukrywałem swojej narodowości, wyznania. Zawsze jestem polskim Żydem, nawet wtedy, gdy towarzysz Gomółka nazywał nas piątą kolumną i wyrzucał z naszej Ojczyzny, kraju, miasta, stanowiska pracy z paszportem w jedną stronę.

Co do koszerności mięsa, to Żydzi używają mięso zwierząt parzystokopytnych, przeżuwających. Zasada uśmiercania zwierzęcia polega na tym, żeby jak najmniej cierpienia, boleści przyczynić zwierzęciu podczas uboju. Rzezak posiada bardzo, bardzo wyostrzony nóż i po odmówieniu modlitwy **jednym** pociągnięciem przecina aortę szyjną i całkowicie spuszcza krew. Pociągnięcie nożem kilka razy czyni mięso trefnym. Krwi Żydzi nie spożywają.

W odróżnieniu od chrześcijaństwa u Żydów w synagodze i na cmentarzu nakłada się nakrycie głowy, może też być kipa, jarmułka. Ja, wchodząc do świątyni chrześcijańskiej, zdejmuję nakrycie głowy. Nie- Żyd wchodząc do synagogi nakłada nakrycie głowy oddając tym samym gestem hołd, szacunek danej religii, wierze. A papież Jan Paweł II zawsze (nie tylko pod ścianą płaczu!) nosił piuskę papieską i czynią to i obecny papież, i biskupi katoliccy. Nakryciem głowy nie musi być tałes. Może być chusteczka do nosa, kawałek papieru. Oprócz soboty (praca zakazana) można robić niezliczoną liczbę zdjęć.

„Osoby nie będące Żydami nie mogą tego robić – modlić się . Tak mówi nasze prawo”. Nic bardziej absurdalnego, mylnego. Nie- Żydzi mogą być obecni i nawet brać udział w modłach tak, jak umieją. Przecież wierzymy w tego samego Boga! A prawo jedynie mówi, że nie-Żyd nie może zakładać tałesu, nakładać tefilin (skórzane pudełeczka z rzemykami przytwierdzone do czoła i lewego przedramienia w dni powszednie).

Pojęcie koszerności, czyli przydatności do konsumpcji, użytku zgodnie z przepisami religijnymi: Np. mięso gotowane w garnku, w którym gotowało się danie mleczne, staje się trefnym, nie koszernym, bo u Żydów naczynia w kuchni są ściśle posegregowane i przechowywane: na mleczne, mięsne na co dzień i na Pesach. Również zasadą jest niespożywanie jednocześnie mlecznych i mięsnych potraw. Po spożyciu mleka trzeba odczekać od pół do jednej godziny, żeby jeść mięso, a po mięsie aż 6 godzin żeby zjeść mleczną potrawę. Zastrzelone zwierzę, ptak jest już trefny. Również wódka zasadniczo jest koszerna. Natomiast na Pesach (Wielkanoc) wódka z żyta, zboża jest trefna, bo na Pesach nie wolno spożywać przez 7-8 dni chleba, kasz, lecz macę. Wiąże się to święto z wyjściem Żydów z egipskiej niewoli. Pesach oznacza *przejście*. Bóg przez Mojżesza sprawił, że wody morza rozstąpiły się i Izraelici przeszli na drugi brzeg. Natomiast Egipcjan podążających za Izraelitami pochłonęło morze.

Również błędem jest twierdzenie, że **„aby zorganizować np. obrzezanie** (przymierze z Panem Bogiem – przypis L.S.) **Żydzi jeżdżą do Izraela… Wyjazdy finansuje państwo Izrael…”** Wykonuje się obrzezanie wszędzie, w każdym państwie przez uprawnioną osobę lub przez każdego lekarza chirurga. Rodzice, jeżeli życzą sobie, mogą zwrócić się do różnych żydowskich fundacji, które przyczyniając się do dobrego uczynku, mogą sfinansować przyjazd *moela* do Polski, a nie jeździć z 8- dniowym dzieckiem do Izraela. Ta uroczystość jest wielkim świętem u rodziców narodzonego chłopczyka i jak to miało miejsce u naszego wnuka w Izraelu, na tej uroczystości, w restauracji, było zaproszonych około 300 gości. Również nieprawdą jest, że państwo Izrael jest zainteresowane tym, aby pokrywać ogromne koszta z tym rytuałem związane.

Również z powyższego wynika, że stołówka koszerna wcale nie jest koszerną, bo personel Gminy za mało wie o nakazach i zakazach judaizmu, tradycji. Żaden rabin czy ortodoksyjny Żyd nie korzystał z naszej stołówki.

Ponadto w Polsce nie ma deficytu rabinów, którzy kształcą się w Izraelu, USA, a nawet w Polsce. Raczej jest deficyt Żydów utrzymujących i praktykujących swoją religię, tradycję, kulturę.

Tyle chciałem dodać, sprostować, wyjaśnić polskim czytelnikom, a moim sąsiadom z otoczenia co do artykułu i tradycji mego Narodu. Jest to promil, a może i mniej wiedzy o wyznawaniu i stosowaniu religii mojżeszowej.

Dziękuję serdecznie pani Agnieszce Młyńczak i całej redakcji Echa Złotoryi za zainteresowanie się tematyką judaizmu i przybliżenie tej wiedzy Waszym czytelnikom

Trudno, o bardzo trudno być Żydem!

Łączę pozdrowienia

Lejb Szklar

Kirkut w Rymanowie - fot. Robert Pawłowski

Złotoryjskie macewy

Przed drugą wojną światową w Polsce istniało ponad tysiąc cmentarzy żydowskich. Przetrwało niewiele. Przez długi czas skazane były na zapomnienie. Próby ratowania tych miejsc podejmowane są przez środowiska i organizacje żydowskie oraz rozsianych po całym świecie potomków polskich i niemieckich Żydów. Bardzo wiele tego typu inicjatyw podejmowanych jest przez osoby o nieżydowskim pochodzeniu. W wielu polskich miastach są zauważane macewy w dziwnych miejscach. Nic dziwnego, że lokalni społecznicy podejmują próby nie tylko porządkowania cmentarzy ale także zabezpieczania nagrobków.

Odzyskane fragmenty macew z ogrodzenia.

Ta listopadowa sobota 2006 roku była bardzo zimna. O godzinie dziewiątej niebo było zachmurzone, potem zaczął padać drobny deszcz, który natychmiast zmienił się w płaty mokrego śniegu. Nieliczni przechodnie, podążający aleją Miłą do Urzędu Pracy i na „biedronkowe” zakupy, mogli zauważyć siedem ciepło ubranych osób przy ozdobnym ogrodzeniu oddzielającym deptak od miasteczka ruchu drogowego. Ludzie ci walili młotami i przecinakami w podstawę ogrodzenia. Zdawać by się mogło, iż chcą je rozwalić. Byli to mianowicie członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej i tylko nadarzyła się okazja, zawiadomiłam o tym historyków z Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, którym zresztą, zwłaszcza od 2005 roku, sprawa była coraz bardziej znana. Długo zastanawialiśmy się, w jaki sposób macewy usunąć z ogrodzenia, bo że trzeba było to zrobić, żadne z nas nie miało wątpliwości. Wszak w zakresie działania naszego Towarzystwa leży opieka nad zabytkami i ochrona historycznej spuścizny miasta i Ziemi Złotoryjskiej.

Ochotnicy podczas wykuwania nagrobków. Na pierwszym planie nieżyjący Ryszard Spera.

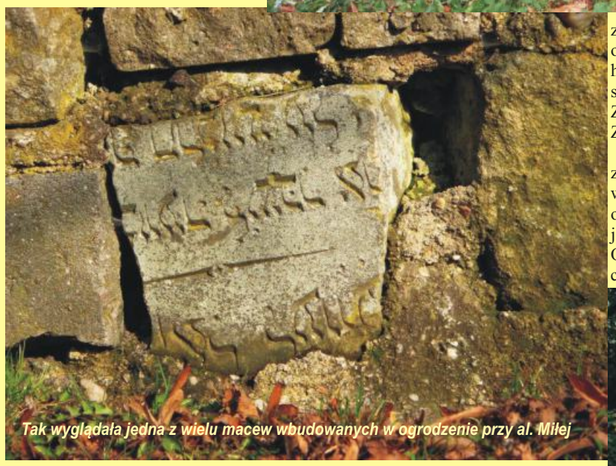

Tak wyglądała jedna z wielu macew wbudowanych w ogrodzenie przy al. Miłej

Macewy zostały wbetonowane w ogrodzenie tylko u jego podstawy. Obawialiśmy się, czy aby nie runie jego sympatycy, którzy podjęli akcję ratowania żydowskich nagrobków, których fragmenty zostały użyte kilkadziesiąt lat temu jako materiał przy budowie ogrodzenia.

Macewy z hebrajskimi napisami w ogrodzeniu przy alei Miłej odkryłam parę lat temu, mimo że mieszkam tuż obok od ponad dwudziestu lat. Trochę niesamowicie wyglądały te skrawki nagrobków z hebrajskimi inskrypcjami w miejscu, które służy całemu naszemu miastu za deptak, miejsce rekreacji i spotkań towarzyskich. Gdy cała konstrukcja po usunięciu interesujących nas kamieni. Niektórzy radzili nawet rozebrać mur od góry. Konsultacje i dyskusje przeciągały się dobrych kilkanaście miesięcy. Gdy wreszcie Roman Gorzkowski oznajmił, że TMZZ jest w posiadaniu zezwolenia od władz miejskich na naszą akcję, niezwłocznie przystąpiliśmy do pracy. Mogliśmy używać jedynie ręcznych narzędzi, gdyż sprzęt mechaniczny groził uszkodzeniem konstrukcji ogrodzenia.

Wykuwanie macew zakończyliśmy po kilku godzinach ciężkiej pracy. Odzyskaliśmy wszystkie kamienie, na których mogliśmy zauważyć jakiekolwiek inskrypcje. Można jednak przypuszczać, że w tym samym murze znajdują się dalsze fragmenty macew, tylko umieszczone inskrypcjami „do wewnątrz”.

Macewy zostały zdeponowane w Ośrodku Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej. Nie wiemy jeszcze, czy są to części jednej czy tez wielu macew.

Na pytanie, dlaczego dopiero po ponad trzydziestu latach, które upłynęły od likwidacji cmentarza żydowskiego ktoś pomyślał o uratowaniu tych drobnych okruchów wielokulturowej przeszłości naszego miasta, można odpowiedzieć, że lepiej późno niż wcale. Lecz powstają kolejne pytania: W jaki sposób i gdzie je wyeksponować? Czy i w jakim zakresie upamiętnić istnienie cmentarza żydowskiego, którego lokalizacja jest znana?

tekst i zdjęcia: Agnieszka Młyńczak

Ochotnicy po kilku godzinach ciężkiej pracy. Od lewej: Grzegorz Kędzior, Ryszard Spera, Roman Gorzkowski, Agnieszka Młyńczak, Waldemar Dmitrowski, Henryk Kopciewicz, Henryk Młyńczak.

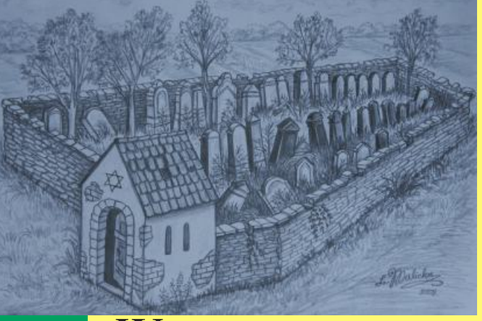

Cmentarz żydowski w Złotoryi

Wielu z nas pamięta jeszcze zaniedbany cmentarz żydowski z poprzewracanymi nagrobkami, uszkodzonym murem i zawaloną bramkę niewielkiego budyneczku, przez który wchodziło się do środka. Równie wielu żałuje, że nie pomyślało o uwiecznieniu tego miejsca na fotografiach. Prosimy wszystkich, którzy posiadają jakiekolwiek wiadomości na ten temat, szczególnie zdjęcia, o uzupełnienia i sprostowania.

Od początku XIX stulecia(patrz artykuł w *Echu* z maja 2008 r.) dość wyraźnie zwiększała się liczba Żydów w mieście i całym powiecie. Najprawdopodobniej właśnie w pierwszych dziesiątkach lat tego stulecia złotoryjscy Żydzi założyli swój niewielki cmentarz przy ówczesnej Mittelstraße(obecnie ul. Kard. S. Wyszyńskiego). W Legnicy nowy cmentarz żydowski otwarto w 1838 r., w Chojnowie powstał w 1840 r. Jeden z przedwojennych rabinów z Chojnowa sądzi, że zmarłych Żydów chojnowskich chowano wcześniej właśnie w Złotoryi.

Ważne informacje o cmentarzu żydowskim zawdzięczamy nieżyjącemu już pastorowi Johannesowi Grünewaldowi, mieszkańcowi naszego miasta do 1946 r. Już jako młodzieniec interesował się on napisami na złotoryjskich budynkach, pomnikach, cmentarzach itp. Z jego notatek wynika, iż hebrajskie inskrypcje na macewach(nagrobkach) pochodziły z okresu około 1820–1920. Z listu, jaki otrzymałem od pastora w 1995 r. wynika także, iż podczas swego pierwszego powojennego pobytu w Złotoryi w 1971 r. udało się mu odnotować następujące dwa teksty: „ *Hier ruht die Asche der Frau Jettel geb. Danziger, Ehe-Gattin des hiesigen Schönfärbers Herrn Caspar Loewenthal. Ein Muster der treuesten Gattin und zärtlichen Mutter von 2 unerzogenen Kinder, geb. zu Grünberg d. 21. März 1800, gest. d. 15. Octobr. 1827“(Tutaj spoczywają prochy Pani Jettel z d. Danziger, małżonki tutejszego farbiarza Caspara Loewentala. Wzór wiernej żony i troskliwej matki dwojga małoletnich dzieci. Urodzona w Zielonej Górze 21 marca 1800 r., zmarła 15 października 1827 r.),* „ *Hier ruht eine treue Gattin und Mutter, Frau Ernestine Schlesinger geb. Müller. Tief betrauert schied sie dahin am 28. Octobr. 1836.“(Tutaj spoczywa wierna żona i matka, Pani Ernestyna Schlesinger z d. Müller. Głęboko opłakiwana odeszła stąd 28 października 1836 r.).* Wówczas także zanotował w swoim dzienniku podróży: *Żydowski cmentarz jest strasznie zniszczony: wszystkie nagrobki – chyba oprócz dwóch, Löwenthala i Schlesingera, z powodu chwastów nie da się tego dokładnie stwierdzić - są zniszczone albo leżą przewrócone, tak że nie było nic do fotografowania.* Według Grünewalda, w drugiej połowie lat 30. XX w. najprawdopodobniej już nie dokonywano tutaj pochówków. Zmarłą w 1938 r. kobietę o nazwisku Rawack, wdowę po kupcu Leopoldzie Rawacku, pogrzebano na cmentarzu legnickim.

Po wojnie pochowano tutaj zapewne tylko jedną osobę, choć relacje złotoryjan, z którymi rozmawiałem kilka lat temu, nie są zupełnie zgodne. Z pewnością w październiku 1947 r. spoczął tutaj 17-letni Natan Chojnacki. Jego wielodzietna rodzina przybyła z Rosji i zamieszkała przy dzisiejszej ul. Bohaterów Getta Warszawskiego(wówczas Wilczej). Według wspomnień znajomych Natana, zginął on śmiercią samobójczą z powodów osobistych(12 października 1947). Tak zapamiętano jego pogrzeb: zwłoki, odziane w białą pośmiertną koszulę, niesione były przez niewielki kondukt na kirkut. Tutaj złożono je na siedząco(ta wiadomość jest zastanawiająca, ale relacje są zbieżne) do grobu wyścielonego deskami i białym płótnem. Na marmurowym kamieniu, ustawionym następnie na grobie, widniał napis hebrajski z płaskorzeźbą złamanego drzewa. Wedle relacji tych samych osób, kilka lat później doszło do ekshumacji ciała Natana, najprawdopodobniej na cmentarz żydowski do Legnicy. Niewykluczone, że doszło jeszcze do dwóch kolejnych ekshumacji.

Po 1945 r. cmentarz stał się najpierw własnością polskiej gminy żydowskiej. W styczniu 1947 r. Starostwo Powiatowe zwróciło się do Zarządu Miejskiego, aby ten dostarczył spis złotoryjskich cmentarzy. W odpowiedzi wysłanej w dniu 28 stycznia 1947 r. podano m.in. że[wszystkie poniższe cytaty pochodzą z dokumentów Archiwum Państwowego w Legnicy] „ *znajduje się tutaj cmentarz żydowski ul. Katowicka. Cmentarz gminy żydowskiej – założony w roku przed 1933 własność gminy żydowskiej, cmentarz opuszczony zaniedbany, ogrodzenie murowane z jedną trupiarnią, obszar około 1500 m2.* W 1948 r. Zarząd Żydowskiej Kongregacji Wyznaniowej w Złotoryi *własną inicjatywą uporządkował teren historycznego cmentarza, na co rozchodował znaczne sumy z funduszów miejscowych.*

W czerwcu 1951 r. Referat Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej przy Prezydium Miejskiej Rady Narodowej zwrócił się do *„wyznawców ewangelickich, niemiecko-katolickich i żydowskich, aby czynem społecznym uporządkowali cmentarze znajdujące się na terenie miasta”.* W lipcu 1952 r. Wydział Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Złotoryi spytał Prezydium MRN, czy nie zamierza zamknąć nieczynnych cmentarzy w mieście. W odpowiedzi czytamy: „ *Prezydium MRN – Ref. G.K.iM. nie występuje z wnioskiem o zamknięcie cmentarzy i ich likwidację z uwagi na to, że cmentarz ewangelicki jest w dalszym ciągu czynny a cmentarz izraelicki jest bardzo mały /25 x 60/ i leży na wzgórzu”.*

Z planu sytuacyjnego(1967), jaki zachował się w Archiwum Legnickim oraz relacji złotoryjan można odtworzyć jego wygląd. Miał więc kształt wydłużonego prostokąta otoczonego murem z łamanego piaskowca. Wchodziło się od zachodu przez niewielki budyneczek, wzniesiony z kamienia i określany na planie z 1967 r. jako kostnica. Półokrągłe wejście ozdobione było prawdopodobnie gwiazdą Dawida. Budynek przykryty był łupkiem (lub dachówką) i miał do jakiegoś czasu solidne drewniane drzwi. Na macewach, coraz liczniej przewracanych i niszczonych, inni zapamiętali rysunki koron lub gwiazd Dawida. Niektóre posiadały obustronne inskrypcje. Nagrobki były różnej wielkości, czasem dość niskie o wysokości około 80 cm.

W dniu 3 grudnia 1967 r. Referat Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej Prezydium MRN poprosił Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej o dokonanie opisu cmentarza żydowskiego, ponieważ *„opis techniczny potrzebny jest do uzyskania pozwolenia na likwidację*

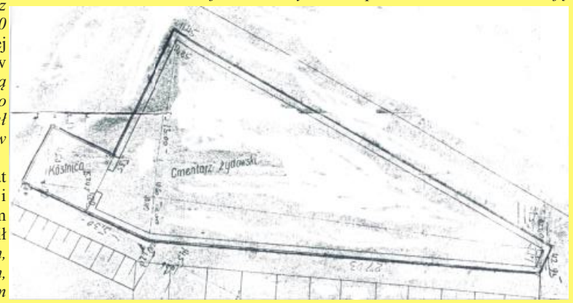

cmentarza żydowskiego”. Niestety, nieznane są motywy tej idei. Przypuszczać można, iż chodziło jedynie o „uporządkowanie” terenu, który rzeczywiście nie budził dobrych skojarzeń a także o usunięcie niemieckich pozostałości. W dniu 7 grudnia 1967 r. Prezydium MRN otrzymało z MPGK odpowiedź następującej treści: *„Cmentarz żydowski znajdujący się w rozwidleniu ulic Cmentarnej i Okrzei o powierzchni ogólnej 350 m2 ogrodzony jest murem z kamienia łamanego na zaprawie kamiennej. Wysokość muru 1,20 – 1,50 m, szerokość 50 cm. Długość 85 m. Mur na całej długości w dobrym stanie. W części południowej mur na długości 8 m zniszczony. Wejście na cmentarz w postaci kaplicy o wym. 4,50 x 5,50 m całkowicie zniszczone. Nagrobki z kamienia piaskowca i betonowe w ilości 35 sztuk poprzewracane i częściowo potłuczone. Na cmentarzu znajduje się prawdopodobnie jeden grobowiec ziemny. Teren cmentarza porośnięty drzewami o ø 10-15 cm. w ilości 32 szt. Drzewostan niszczony, widać świeże ślady wyrębu. Cały teren porośnięty dziko rosnącymi krzewami i chwastami. Dyrekcja MPGK nie posiada żadnej dokumentacji dot. chowania zmarłych na cmentarzu żydowskim. Wg oświadczenia tut. Grabarza Ob. Władysława Mazura w latach od 1946 r. na cmentarzu żydowskim nie chowano żadnych zwłok. Napisy na płytach nagrobkowych pisane w języku hebrajskim nie pozwalają na odtworzenie daty ostatniego pochówku”.*

W/w pismo odłożono jednak na razie na półkę. „Dopiero” w dniu 11 grudnia 1970 r. Prezydium Miejskiej Rady Narodowej podjęło uchwałę *„w sprawie zamknięcia i przedterminowej likwidacji cmentarza żydowskiego”*. W paragrafie 1 postanawiano *„ wystąpić do Prezydium WRN we Wrocławiu z wnioskiem o zezwolenie na zamknięcie i przedterminową likwidację nieczynnego cmentarza Żydowskiego”* a następnie powtarzano większość sformułowań z pisma MPGK z grudnia 1967 r. Przypuszczalny koszt „zamknięcia i uporządkowania” cmentarza określono na kwotę 30 tysięcy złotych. Wyjaśnijmy w tym miejscu termin „przedterminowa” likwidacja. Otóż według okólnika ówczesnego Ministerstwa Gospodarki Komunalnej ze stycznia 1962 r. „normalne” decyzje o zamknięciu i likwidacji cmentarzy mogły zapadać po upływie 40 lat od chwili ostatniego pochowania zwłok na cmentarzu. Widocznie wiedziano w mieście o powojennym pogrzebie a od tego czasu do 1970 r. nie upłynęło 40 lat.

Uchwałę przekazano do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, która do 1972 r. zwlekała z odpowiedzią. Jeszcze w listopadzie 1972 r. Referat Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej MRN sprawozdawał, że „ *nie uporządkowano cmentarza wyznaniowego ze względu na brak decyzji o jego likwidacji, która dokonana zostanie do końca roku”.* 15 lutego 1973 r. ten sam organ donosił: *W związku z otrzymanym zezwoleniem na likwidację cmentarza żydowskiego, wysłano zlecenie do MPGKiM na uporządkowanie tego terenu i jego zagospodarowanie*, aby wreszcie 25 czerwca 1973 r. w sprawozdaniu stwierdzić: *Zakład Urządzeń Komunalnych zgodnie z naszym zleceniem dokonał likwidacji cmentarza możżeszowego.* Zachowała się relacja jednego ze złotoryjan, który stwierdza, że prace wykonano bardzo szybko, zapewne już w lutym 1973 r.(taki termin pojawia się w planie pracy Referatu GKiM na I kwartał 1973 r.).

Zakładającym działki rekreacyjne w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku znany był fakt istnienia cmentarza i dlatego ominięto jego obszar. Osoby niewiedzące niczego o cmentarzu pytają niekiedy, dlaczego ogrodzenie ogródków działkowych tak dziwnie skręca w tym miejscu. Po prostu biegnie wzdłuż granicy byłego cmentarza.

Wiedza o istnieniu cmentarza żydowskiego w Złotoryi przebijała się powoli nawet w opracowaniach naukowych. Jeszcze w październiku 1999 r. podczas prelekcji pt. „Żydzi dolnośląscy od XIII do XVIII wieku. Okolice cmentarzy żydowskich”, wygłoszonej w Muzeum Złota przez jednego z pracowników naukowych Uniwersytetu Wrocławskiego, usłyszeliśmy, że kirkutu w ogóle w naszym mieście nie było. Na przekór temu stwierdzeniu, kilka dni później(29 października) kilkoro działaczy TMZZ odnalazło na terenie tego właśnie cmentarza niewielki fragment macewy z hebrajskim napisem. Od 2001 r. znajduje się on w Ośrodku Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej.

Jeszcze do niedawna przypuszczano, że usunięte macewy trafiły na jakieś wysypisko śmieci lub zostały użyte częściowo np. jako fundamenty muru otaczającego dolną część powojennego cmentarza. Od pewnego czasu mówiono również o kamieniach ze starymi napisami przy al. Miłej. Gdy w 2005 r. archeolog Mariusz Lesiuk zwrócił TMZZ uwagę na fragmenty z hebrajskimi inskrypcjami, tkwiące w murze oporowym właśnie przy al. Miłej(poniżej Powiatowego Urzędu Pracy), działacze TMZZ nie pozostawili tego faktu bez odpowiedzi. Rzecz nabrała jednocześnie pewnego rozgłosu, wzbudziła zainteresowanie prasy i lokalnego portalu internetowego. W maju 2006 r. w lokalnej prasie ukazał się artykuł pod tytułem *Nagrobki jak cegły*, w którym urzędnicy miejscy i przewodniczący Rady Miejskiej obiecywali zająć się tą sprawą. Ale w tym czasie TMZZ wniósł już do Urzędu Miejskiego prośbę o pozwolenie wydobycia kamieni. Ciąg dalszy tej historii opisujemy obok.

Najbliższy cmentarz żydowski zachował się w Legnicy i warto tam pojechać choćby po to, by wyobrazić sobie, jak mogła wyglądać niewielka w porównaniu z legnicką nekropolia złotoryjska. Na cmentarzu legnickim znajduje się grób Icka Fajersztajna, zmarłego w 1979 r.

Roman Gorzkowski

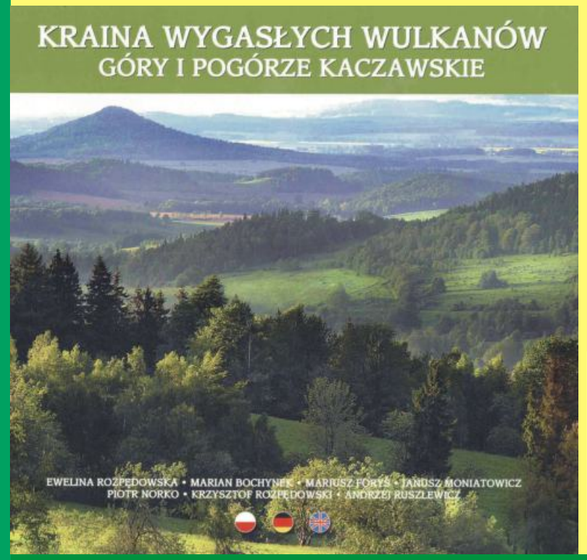

Warto przeczytać

W ubiegłym roku jeleniogórskie wydawnictwo Janusza Moniatowicza opublikowało album *Kraina Wygasłych Wulkanów. Góry i Pogórze Kaczawskie*. Jednym z autorów arcyciekawych zdjęć jest znany nam dobrze Piotr Norko. Na fotografiach uwieczniono zabytki architektury i przyrody z terenu naszego powiatu, malownicze panoramy rozciągające się ze szczytów Gór Kaczawskich, tradycyjne imprezy… Przykuwają uwagę wspaniałe ujęcia lotnicze. Dzięki takim wydawnictwom wulkany wciąż żyją i przyjaźnie, nie tak jak przed milionami lat, zapraszają tubylców i turystów.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

W objęciach nimfy Calypso

Miesiąc temu w rubryce *Historia jednej fotografii* pytaliśmy o dworzec autobusowy sprzed lat. Widokówka z 1967 r., z fotografią J. Siudeckiego, wyjaśnia zagadkę. Złotoryjanom w sile wieku przypomina także urocze chwile spędzane w kawiarni *Calypso*. To tutaj na przykład udawało się czasem wpadać uczniom ogólniaka na papierosa czy wino, ale na widok nauczyciela natychmiast rzucano się do ucieczki. Dzisiaj bywa zupełnie odwrotnie.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Bezpowrotnie utracone

Być może musiało dojść do powojennych rozbiórek wielu kamienic złotoryjskiej Starówki. Szkoda jednak obiektów z zabytkowymi fragmentami pochodzącymi, jak można wnioskować z zamieszczonej fotografii, z siedemnastego czy osiemnastego wieku. Kto z Czytelników wie, w którym miejscu znajdowały się owe kamienice i kiedy przestały istnieć?

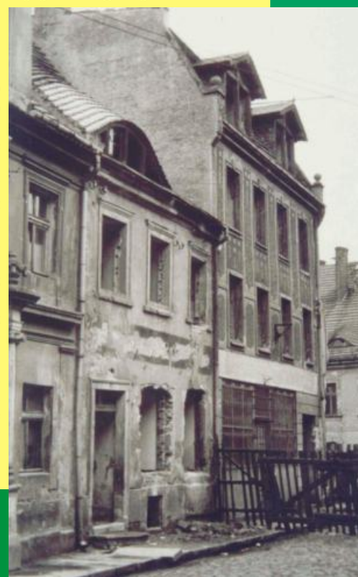

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT ®
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

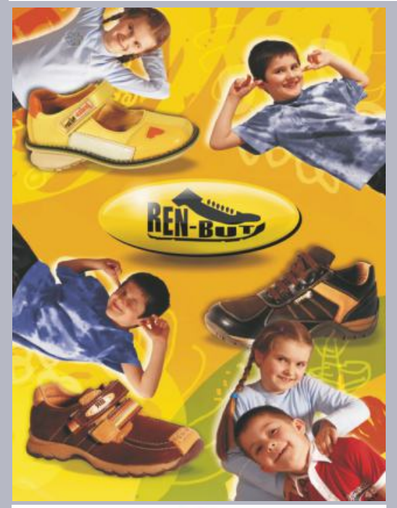

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. ZŁOTORYJA
KSS S.A.

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe
▪ płukane
▪ kolorowe
▪ posypki
▪ mączki
STONESPOL
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023